



***Sarah Morgan***



***Klejnot Sycylii***

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Członkowie zarządu firmy Ferrara Resorts siedzieli nieruchomo wokół stołu. Na wszystkich twarzach malował się szok. W absolutnej ciszy, tętniącej od niewypowiedzianych słów, okrzyków zdumienia i jęków protestu, Santo Ferrara uśmiechnął się szeroko.

- Liczę na to, że mój projekt zainteresował państwa, i że zarząd uzna go za warty realizacji. Dziękuję za uwagę - zakończył i niespiesznie zajął swoje miejsce za stołem, rozbawiony wrażeniem, jakie wywarł.

Niektórzy spośród szacownych członków zarządu od dobrych paru minut siedzieli z otwartymi ustami, zupełnie nieświadomi tego, jak komiczny przedstawiają widok.

Mijały sekundy, a cisza trwała.

- Proszę cię, powiedz, że żartujesz - odezwał się wreszcie Cristiano, starszy z braci Ferrara. Choć wyraźnie silił się na spokój, brwi miał zmarszczone, a spojrzenie jego ciemnych oczu było pełne napięcia. - Twój projekt jest niewykonalny. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Bo jeśli się przy nim uprzesz, możesz narazić na duże nieprzyjemności nie tylko siebie, ale i nas wszystkich.

Cały Cristiano, pomyślał Santo, maskując przyпіływ braterskiego uczucia chłodnym uśmiechem. Szczery, serdeczny ekstrawertyk. Wszystko po nim widać - troskę o bliskich, niepewność, czy młodszy brat sprawdzi się na stanowisku szefa wielkiej firmy, które przekazał mu, gdy ograniczył swoją działalność zawodową, żeby mieć więcej czasu dla żony i dwóch uroczych, lecz absorbujących córek.

Santo mógł zapewnić brata, że doskonale wie, z jakim ryzykiem wiąże się realizacja projektu, który przed chwilą przedstawił. Ale nie zamierzał się tłumaczyć. Cristiano musiał przestać traktować go jak dziecko. Skoro powierzył mu stanowisko szefa, nie powinien podważać jego autorytetu, pouczając go przy wszystkich, jakby miał do czynienia z niedoświadczonym stażystą, którego trzeba pilnować, żeby nie narobił poważnych błędów.

Niestety, Cristiano nie potrafił wyzbyć się tego denerwującego nawyku. Ciągłe udzielał mu porad i napomnień. Odkąd Santo przejął stery firmy, praktycznie każda z

jego decyzji była komentowana przez brata. Oczywiście, Cristiano robił to w dobrej wierze. Chciał się podzielić swoim doświadczeniem, oszczędzić młodszemu bratu stresu i niepewności, których sam zaznał, kiedy po nagłej śmierci ojca musiał porzucić beztrojskie, młodzieńcze życie, żeby stanąć na czele rodzinnej firmy. Był tak nawykły do dbania o bliskich, że w swoim postępowaniu nie widział nic złego. Przez myśl mu nie przeszło, że jego chęć pomocy mogła być odebrana jako upokarzające prowadzenie za rączkę.

Santo uznał wreszcie, że nie pozostaje mu nic innego, jak zastosować terapię szokową. Jego plan sprowadzał się do tego, żeby na zebraniu zarządu zgłosić projekt, którego realizacja będzie graniczyła z niemożliwością, ale który będzie w jakiś szczególny sposób istotny dla budowania wizerunku firmy. Gdy Cristiano, jak to miał w zwyczaju, zacznie forsować swój punkt widzenia, Santo uprzejmie, ale zdecydowanie postawi na swoim. A kiedy zwycięstwo w pojedynku słownym, przeprowadzonym wobec całego zarządu, będzie należało do niego, pozostanie mu tylko... odnieść sukces, wcielając w życie wymyślony przez siebie, śmiały projekt.

- Wydaje ci się - powiedział dobitnie - że to rzecz niewykonalna. Ale to nie znaczy, że tak jest w istocie. Weź pod uwagę, że możesz się mylić, zwłaszcza że ostatnio zmieniły ci się życiowe priorytety. Chyba każdy przyzna, że mając trzy kobiety w domu, mężczyzna może... częściowo stracić bystrość myślenia.

Słowa zabrzmiały jednoznacznie - jak rzucona rękawica. Członkowie zarządu zerkali ukradkiem jeden na drugiego, ale wszyscy mieli dość rozsądku, żeby zachować milczenie.

- Chyba zapominasz, bracie, że wciąż zasiadam w zarządzie tej firmy - warknął Cristiano, wbijając w Santa ponure spojrzenie.

- O niczym nie zapominam, bracie - odparł Santo lodowato. - To raczej ty nie pamiętasz, że nie jesteś już głównym rozgrywającym. Sam podjąłeś decyzję, że się wycofujesz, żeby zająć się zmienianiem pieluch. Może więc na tym poprzestań, a kierowanie firmą zostaw innym.

Cisza ponad stołem zgęstniała, powietrze zdawało się drżeć od napięcia. Wszyscy zebrani siedzieli w absolutnym bezruchu, kuląc lekko ramiona. Nikt nie miał pewności,

czy w następnej chwili bracia Ferrara nie rzucą się na siebie z pięściami, żeby, jak na rodowitych Sycylijczyków przystało, rozwiązać konflikt za pomocą mocnych i jednoznacznych argumentów.

Cristiano przyglądał się Santowi spod zmarszczonych brwi. Nagle potrząsnął głową i zaśmiał się głośno, szczerze.

- A niech cię, brachu. Odkąd przejąłeś prowadzenie firmy, pracujesz jak tytan i odnosisz sukces za sukcesem. Jesteś diabelnie bystry i śmiały. Ważysz się na rzeczy, na które ja na pewno bym się nie odważył. Sięgasz po nietypowe rozwiązania, których, przyznam szczerze, nie umiałbym znaleźć. Krótko mówiąc: jesteś urodzonym liderem i przekazanie ci fotela prezesa było prawdopodobnie najlepszą decyzją biznesową, jaką podjąłem. Ale nawet ty nie zdołasz dokonać tego, na co usiłujesz teraz się porwać.

Santo zachnął się, ale Cristiano nie dał sobie przerwać.

- Nie przeczę, że projekt, który przedstawiłeś, jest niezwykle atrakcyjny. Zwłaszcza, że nasz hotel na zachodnim wybrzeżu wyspy to miejsce szczególne. Kolebka fortuny Ferrarów, pierwszy hotel, założony jeszcze przez naszego dziadka. Gdyby udało się zrobić z niego klejnot w naszej koronie, wydobyć potencjał tego miejsca, pokazać, jak nowoczesność wyrasta z tradycji i że harmonijne połączenie szacunku do przeszłości i otwarcia na przyszłość jest naszą siłą, naszym atutem... byłby to spektakularny sukces, który przyczyniłby się do popularności firmy i ugruntował jej pozycję w dzisiejszych, niepewnych czasach. Ale, jak sam doskonale wiesz, żeby rozszerzyć i uatrakcyjnić ofertę, przyciągnąć większe grono klientów, czy to zainteresowanych sportami wodnymi, czy wypoczynkiem w tradycyjnym, sycylijskim otoczeniu, potrzebujemy większego terenu. W tej chwili posiadamy tam zaledwie małeńki skrawek ziemi, praktycznie bez dostępu do morza. Żeby zrealizować swój projekt, musiałbyś kupić grunty leżące po sąsiedzku. A tak się składa, że są one własnością rodziny Baracchi.

Siedzący w rogu stołu szef działu prawnego westchnął głucho, przetarł twarz dłońmi i zacisnął palce na kilku kosmykach włosów, które jeszcze posiadał. Waśń dzieląca rody Ferrarów i Baracchich trwała od tak dawna, że nikt nie pamiętał, co było jej przyczyną. Każdy wiedział jednak, że waśń ta wciąż owocuje niechlubnymi epizodami bijatyk pomiędzy zwolennikami jednej i drugiej strony, którzy nadużyli wina w lokal-

nych trattoriach, oraz ciągnącymi się w nieskończoność sprawami sądowymi. Nestor rodu Baracchich od lat blisko pięćdziesięciu uważał za punkt honoru procesowanie się z Ferrarami o każdy drobiazg. Wszelka nadzieja, że waśń wreszcie umrze śmiercią naturalną, rozwiała się parę lat temu, kiedy tragiczny wypadek na nowo podsycał ogień nawiści.

- Stary Baracchi nigdy w życiu nie sprzeda ci ziemi - pokręcił głową Cristiano. - Prędzej podziurawi cię kulami ze swojej wiekowej flinty, o ile tylko da radę nacisnąć spust. Podobno ostatnio coraz bardziej dokucza mu artretyzm. Daj mu spokój, Santo. Ten stary piniacz jest nie tylko uparty, ale może też być naprawdę niebezpieczny.

- Ten stary piniacz, jak go nazywasz, jest też biznesmenem. I doskonale zdaje sobie sprawę, że znalazł się w finansowych tarapatkach, a oferta, którą mu złożymy, zapewni całej jego rodzinie spokój i dostatek na długie lata. Byłoby z jego strony zupełnie nierozsądne...

- Liczysz na jego rozsądek? - Cristiano uniósł ręce w geście bezradnego zdumienia. - Przecież wiesz, że ten człowiek nie kieruje się rozsądkiem, tylko gniewem i rozżaleniem.

- Owszem, wiem. - Santo skwitował wybuch brata skrzywieniem warg. - I wiem też, że ta cała waśń trwa już stanowczo zbyt długo. Cała Sycylia bawi się naszym kosztem od dobrych stu lat! Po prostu liczę na to, że Giuseppe Baracchi jest, podobnie jak my, zmęczony tą całą szopką. Jeśli przyjmie moją ofertę, zachowa twarz, będzie mógł zakopać topór wojenny i wreszcie odejść na zasłużoną emeryturę.

- W cuda wierzysz? Stary Baracchi raczej umrze, ba, raczej pozwoli, żeby wszyscy jego bliscy pomarli z głodu, niż pójdzie z nami na jakikolwiek układ. Myślisz, że nie zwracałem się do niego z podobnymi propozycjami? Wszystkie odrzucił. A było to, zanim jego wnuk...

Santo poczuł nagłe dźgnięcie bólu, jakby wbito mu sztylet pod żebro, dosięgając serca. Stracił oddech, kiedy zalała go czarna, dławiąca fala żalu i rozpacz, jak zawsze na wspomnienie tamtej fatalnej nocy.

- Dobrze wiesz, że nie mam nic wspólnego z tym, co spotkało młodego Baracchiego - powiedział głucho. - Dobrze wiesz, jaka jest prawda.

- Oczywiście, że wiem. - Cristiano złagodniał. - Ale czy myślisz, że stary Baracchi przejmuję się tym, jaka jest prawda? Nie. Dla niego ważne jest, że ma na kogo zwalić winę za śmierć wnuka. A ty najlepiej nadajesz się na kozła ofiarnego, wzięwszy pod uwagę okoliczności.

Okoliczności? Na szczęście nikt nie miał pojęcia, co Santo Ferrara robił wtedy, gdy zginął młody Baracchi! Nikt, poza jedną, jedyną osobą, która wiedziała wszystko, bo była wtedy razem z nim. Ale, choć z nią od tamtego czasu ani razu nie rozmawiał, był pewien, że podjęła tę samą decyzję co on - żeby ten sekret zachować dla siebie.

- Jako prawnik - łysiejący mężczyzna odchrząknął, nerwowo poprawiając się na krześle - odradzałbym, w tej sytuacji...

Santo miał dość.

- Z punktu widzenia strategii i zyskowności mój projekt jest bez zarzutu - wycedził. - A jednak odradza mi się go, bo rodzina Baracchi mogłaby się obrazić, choć propozycja, którą zamierzam złożyć jej przedstawicielom, jest najzupełniej uczciwa. Czy myślicie, że jestem tchórzem?

- Wręcz przeciwnie, bracie. - Cristiano pokręcił głową z westchnieniem. - Wiemy dobrze, że jesteś odważny i bardzo niechętnie rezygnujesz z raz powziętej decyzji. Ale tym razem trafiła kosa na kamień. Giuseppe Baracchi nienawidzi każdego, kto nosi nazwisko Ferrara, a ciebie w szczególności. W dodatku, jest nieobliczalny. Kto wie, co może zrobić, kiedy poczuje się przyparty do muru. Jestem zdania, że rozsądnym wyjściem byłoby w ogóle pozbyć się tego hotelu, właśnie ze względu na jego usytuowanie. Nie przynosi dochodów, a jego utrzymanie sporo nas kosztuje. Nie sprzedaliśmy go dotąd, bo mama nie chciała o tym słyszeć. Uważała, że należy pielęgnować tradycję. Ale ostatnio rozmawiałem z nią i jest skłonna...

- Na pewno nie sprzedamy tego hotelu - uciął Santo. - Przekonasz się, że nie minie wiele czasu, a zacznie przynosić zyski, i to niebagatelne. Bo zamierzam zrobić z niego klejnot w naszej koronie. Ale do tego potrzebuję ziemi. Poszerzenie dostępu do morza nie wystarczy, chcę mieć wszystko. Całą zatokę.

Prawnik otworzył usta, a potem zamknął je bez słowa.

- To jeden z piękniejszych fragmentów wybrzeża, który na razie leży odłogiem i niszczeje - ciągnął Santo. - Odkupimy go od Baracchich, którzy wyraźnie nie mają środków, żeby wykorzystać jego potencjał, i udowodnimy, że potrafimy zrobić z niego turystyczną perełkę, zachowując nietknięte środowisko naturalne. Nie zamkniemy plaży; chciałbym, żeby była dostępna dla wszystkich. Zaproponujemy różne atrakcje: sporty wodne, nurkowanie, obserwacje morskiej fauny. To będzie nasza wizytówka.

- Pomysł, jak już tu powiedziano, teoretycznie jest znakomity. - Szef działu prawnego podniósł się z miną straceńca. - Ale poza... prawdopodobnie niechętnym nastawieniem pana Giuseppe Baracchiego do wszelkich propozycji, jakie mogłyby paść ze strony firmy Ferrara Resorts, istnieje jeszcze jeden problem. Na terenie należącym do Baracchich, na cyplu zamykającym zatokę od południa, leży Budka Ratownika. Choć w istocie cały nadmorski teren jest mocno zaniedbany, restauracja ta przynosi spore zyski.

- Racja. - W łagodnym tonie Santa można było usłyszeć lodowate nuty. - Z tym że nie tyle jest to kolejny problem, co kolejna przesłanka świadcząca o słuszności mojego projektu. Na razie Budka Ratownika stanowi dla nas konkurencję, i to niemałą. Ale kiedy będzie należała do nas, stanie się jeszcze jednym, niebagatelnym atutem.

- Kiedy będzie należała do nas?! - Cristiano zaśmiał się ponuro. - Bracie, czyżbyś nie wiedział, kto prowadzi tę restaurację?! Fiammetta Baracchi, wnuczka starego Giuseppe! Podobno stary chciał ją jak najwcześniej wydać za mąż, żeby mieć kłopot z głowy, ale ta diabliska potrafiła się mu postawić. Skończyła elitarną szkołę gastronomiczną z wyróżnieniem, a potem wymogła na dziadku, żeby przekazał jej Budkę Ratownika. Kiedy ją przejmowała, była to marna, nadmorska smażalnia z trzema kulawymi stolikami, która oferowała frytki i cienkie piwsko. Nowa szefowa potrzebowała zaledwie kilku lat, żeby stworzyć restaurację słynną na całą wyspę. Nie wydała przy tym ani grosza na marketing; ta dziewczyna po prostu ma niezwykły talent. Budka Ratownika jest jej oczkiem w głowie. Jak, twoim zdaniem, Fia Baracchi przyjmie wiadomość, że zamierzasz kupić ziemię razem z restauracją?

Santo nie musiał się zastanawiać nad odpowiedzią.

Wiedział, co się stanie, jeśli los zetknie ze sobą ich dwoje. Zderzą się charaktery, posypią się iskry. Odżyje przeszłość.

Nie tylko przeszłość dwóch rodzin, waśń, która wyrosła przed laty z zatrutego ziarna zawiści i sprawiła, że żyjące po sąsiedzku sycylijskie rody rzuciły się sobie do gardła, zajadle walcząc o kawałek nadmorskiej ziemi, a potem o wszystko, o co tylko mogły. Także jego prywatna przeszłość. A zwłaszcza ten jej fragment, który starannie ukrywał. W rodzinie Ferrarów, gdzie każdy wiódł życie tak przykładne, że zdawało się skopiowane z obrazka w elementarzu, on jeden skrywał mroczną tajemnicę. Fiammetta Baracchi.

Santo podniósł się z za stołu i nerwowym krokiem podszedł do ogromnego, panoramicznego okna, za którym rozciągało się szafirowe, skąpane w słońcu Morze Śródziemne. Choć wbił wzrok w szybę, nie dostrzegał ani migoczących w słońcu fal, ani mew żeglujących spokojnie na szeroko rozpostartych, białych skrzydłach. Przed oczami miał Fię Baracchi, taką, jak ją zapamiętał. Jej delikatne ramiona, które w rzeczywistości były o wiele mocniejsze, niż wyglądały. Jej cudowne ciało, jasne, smukłe i sprężyste jak u elfki. Jej dziewczęce, jędrne krągłości, świeże jak pąki róż. Długie, zgrabne nogi o wąskich kostkach. Szczupłą twarz o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i małym, zabawnym nosku, usianym mnóstwem jasnóżłotych piegów. Duże, wrażliwe usta, które wydawały się miękkie, nawet gdy je zaciskała w wyrazie uporu. Włosy, które przypominały roztańczone płomienie, i ogromne, szare jak dym oczy, w których czaiła się dzikość.

Nie widział jej od trzech lat.

- Fia nie pójdzie ci na rękę. Nienawidzi cię. - Cristiano przyglądał się bratu spod zmarszczonych brwi.

Czy to była nienawiść...?

Nie rozmawiał z Fią o uczuciach. Prawda była taka, że w ogóle z nią nie rozmawiał, nigdy i o niczym. Nawet tamtej letniej nocy, gdy w półmroku wypełnionym szumem morza i ich własnymi, gorączkowymi oddechami, zdierali z siebie ubrania, a ręce drżały im z niecierpliwości. Choć działo się to przed trzema laty, pamiętał z zadziwiającą, sugestywną dokładnością, co czuł, gdy chłonęli siebie nawzajem, gdy odkrywali w pospiesznym zachwycie namacalną bliskość swoich ciał. Przemawiały ich palce, rozedr-



gane z pragnienia, i rozchylone, złaknione wargi. Sycili się sobą, zagubieni w otchłani zmysłów i w ciemnościach nocy. I przez cały ten czas nie zamienili ze sobą ani słowa.

Nie rozmawiali też później, z tej prostej przyczyny, że od tamtej pory się nie widzieli.

Przez długie trzy lata odsuwał od siebie wspomnienia nieopisanych chwil, które przeżył z Fią. Nie szukał kontaktu z nią, nie tylko dlatego, że zupełnie nie wiedział, co mógłby w świetle dnia powiedzieć o tym, czego doświadczyli w mroku nocy. Zachował pełną dyskrecję, bo z nich dwojga to ona ryzykowała więcej. Nosila wszak nazwisko Baracchi. Gdyby Giuseppe dowiedział się, że jego wnuczka przeżyła szaloną, miłosną przygodę z młodym Ferrarą, zamieniłby jej życie w piekło. Nie dziwiło go więc jej milczenie.

- Ta rodzinna waśń trwa już stanowczo zbyt długo - wyrzucił z siebie gwałtownie, zdziwiony własną emocjonalną reakcją. - Czas ją zakończyć. Baracchi musi to zrozumieć.

- Pobożne życzenia, nawet najśluszniesze, to za mało. - Jego brat rozłożył bezradnie ręce. - Jak zamierzasz zakończyć tę waśń? Nie dalej jak dwa lata temu wnuk Giuseppe, jedyny męski potomek i spadkobierca nazwiska, zginął, bo nie wyrobił się na zakręcie i uderzył w mur. A że jechał twoim samochodem, dla starego Giuseppe to tak, jakbyś ty osobiście wysłał go na tamten świat. Myślisz, że kiedy pójdziesz przemówić mu do rozsądku, on poda ci rękę na powitanie, a potem siądziecie sobie na tarasie i przy szklaneczce grappy otworzycie nowy rozdział owocnej i zgodnej współpracy?

- Oferta, którą zamierzam mu złożyć, jest dla niego niezwykle korzystna. - Santo skrzyżował ramiona na piersi, starając się ukryć zniecierpliwienie.

- Pytanie tylko, czy zdążysz mu ją przedstawić, zanim wygarnie do ciebie ze swojej flinty - podsunął brat.

- Przestań - zachnął się Santo. - Baracchi nie będzie do mnie strzelał.

- Bo prawdopodobnie nie będzie musiał. - Cristiano uśmiechnął się niewesoło. - Jego wnuczka ma zapewne szybszy refleks i celniejsze oko, więc wyręczy dziadka.

Santo nie odpowiedział.

Jeżeli Fia Baracchi była równie zapalczą, co namiętna, nie wykluczał, że istotnie mogłaby targnąć się na jego życie.

- Gotowe! - Fia ułożyła na talerzu porcję grillowanych czerwonych warzyw i umieściła na nich zsuniętą z rusztu złocistą doradę.

Przybrała danie sporą garścią roszonej skropionej pikantnym winegretem i przyjrzała się swojemu dziełu z uczuciem czystej, radosnej satysfakcji. Soczysta papryka, młoda czerwona cebula i słodkie, dojrzałe w słońcu pomidorki, upieczone w ziołowej marynacie pachniały nieziemsko, a dorada, doprawiona morską solą i grubo mielonym kolorowym pieprzem, była przyrządzona dokładnie tak, jak trzeba, żeby wydobyć smak delikatnego, świeżego mięsa.

Idealnie. Miała ochotę roześmiać się na głos, kiedy odwracała się od kuchennego blatu z talerzem w dłoniach. Oczy jej błyszczały, a policzki miała zarumienione od gorąca buchającego z pieca albo od emocji. Fiammetta Baracchi uwielbiała gotować. Kiedy stała przy garnkach, czuła się jak artystka w natchnieniu.

- Gina?

- Ja to zaniosę. - Francesco, jej młody wspólnik, wyrósł przed nią jak spod ziemi. - Gina nie może w tej chwili obsłużyć stolika, bo... jest zajęta. Na parking zajechał jakiś facet czarnym lamborghini, więc pobiegła zobaczyć, kto to taki. Nasza Gina wciąż wierzy, że spotka księcia z bajki. - Młody człowiek uśmiechnął się z rozbawieniem, okręcił na pięcie i ruszył ku wahadłowym drzwiom prowadzącym do sali, w przelocie chwytając jeszcze tacę, na której stała butelka schłodzonego białego wina i karafka z wodą mineralną.

- Powiedz Ginie, żeby przestała podglądać gości i zajęła się pracą! - zawołała za nim Fia.

- Sama jej to powiedz, ja nie mam odwagi. - Francesco zatrzymał się w pół kroku i to uratowało go przed czołowym zderzeniem z niewysoką blondynką, która pędem wpadła do kuchni.

- Gina, uważaj trochę! Masz szczęście, że ta dorada nie wylądowała na podłodze, bo wysłalibyśmy cię łodzią na połów. Kończą nam się ryby.

Blondynka nie zwróciła najmniejszej uwagi na reprimendę. Jej bujne piersi falowały tak gwałtownie, że dekolt prostej, białej koszuli bez rękawów, którą nosiła pod fartuchem, rozchyłał się coraz mocniej. W błękitnych oczach płonęła ekscytacja.

- Nie macie pojęcia, kto właśnie do nas przyjechał - wykrztusiła.

Fia spojrzała na nią z roztargnieniem i sięgnęła do lodówki po kotleciki z jagnięciny. Ułożyła mięso na drewnianej stolnicy i zaczęła je rozbijać wprawnymi, zdecydowanymi uderzeniami tłuczka.

- Wiesz, jak bardzo jesteś tu potrzebna - rzuciła, nie przerywając pracy. - Jeżeli porwie cię jakiś książę na białym koniu, nie poradzę sobie.

- Wiem, ale... - Gina splotła palce, potrząsnęła głową, nie mogąc ukryć rozgorączkowania. Zalotnie wystrzępione jasne kosmyki zatańczyły wokół jej rumianych policzków. - Ale...

- Ogarnij się, dziewczyno - zaśmiała się Fia. - W sezonie niemal codziennie gości tu jakąś znaną osobistość. Myślałam, że zdażyłaś się już przyzwyczaić.

Skropiła mięso sosem sojowym, natarła ostrą francuską musztardą i błyskawicznymi ruchami ułożyła kotlety na patelni, na cienkiej warstwie rozgrzanej oliwy. Zupełnie nie podzielała podekscytowania Giny. Dla niej goście byli po prostu gośćmi, obojętne, jakie nosili nazwiska. Przychodzili do Budki Ratownika, żeby dobrze zjeść, a jej zadaniem było ich nakarmić. I potrafiła zrobić to znakomicie.

Kiedy mięso się przyrumieniło, przewróciła je na drugą stronę i wlała na patelnię solidną porcję dżinu. Doda jeszcze owoce jałowca, a potem gęstą śmietanę. Poczekaj, aż sos ściemnieje, i poda wszystko z kluseczkami własnej roboty.

- Ale to nie jest jakaś znana osobistość. - Gina zerknęła przez uchylone drzwi w głąb sali restauracyjnej. - O rany, ależ on jest przystojny! W rzeczywistości wygląda jeszcze lepiej niż na fotografiach.

- Nawet jeżeli ten facet jest piękny jak sam Apollo, to o ile nie ma rezerwacji, będzie musiał opuścić lokal. Dziś wieczorem mamy komplet. - Fia ostrożnie dolewała śmietanę do sosu, energicznie mieszając, żeby połączyć składniki.

- Nie możemy go odprawić z kwitkiem! - Gina wzięła się pod boki. - To jest Santo Ferrara we własnej osobie!

Santo Ferrara.

Fia zastygła w bezruchu, jakby te dwa słowa były magiczną formułą, która zamieniła ją w kamień. Nie mogła wydobyć głosu, nie mogła nawet odetchnąć. Palce zaciśnięte kurczowo na rączce patelni pobielwały.

Santo Ferrara.

Nawet jej myśli zamarły. W głowie dźwięczały te dwa słowa, zwielokrotnione jakimś dziwnym echem; miała wrażenie, że nie potrafi do końca pojąć ich sensu.

Santo Ferrara.

Od trzech długich lat bała się tej chwili. Od trzech długich lat... na tę chwilę czekała. Nie była w stanie zdobyć się na żadną reakcję.

Sos na patelni zbulgotał, jakby domagając się jej uwagi, i to ją odblokowało. Mechanicznymi, sztywnymi ruchami zamieszała go jeszcze raz, zdjęła z ognia, wyjęła dwa talerze i ułożyła na nich porcje.

- Jagnięcina w sosie jałowcowym, kluseczki kładzione, młoda fasolka szparagowa w ziołowym winegrecie - odezwała się bezbarwnym tonem, podając talerze Ginie. - Dla pary, która siedzi na tarasie od strony morza. Zarezerwowali stolik miesiąc temu, specjalnie na dzisiejszy wieczór. Świętują rocznicę ślubu, więc upewnij się, że wszystko jest tak, jak sobie wymarzyli. Możesz im wspomnieć, że szefowa kuchni do jagnięciny poleca czerwone wytrawne wino, najlepiej cabernet-sauvignon...

Gina machinalnie wzięła od niej talerze, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Nie rozumiem - wyrzuciła z siebie, gapiąc się na swoją szefową i przyjaciółkę oczami okrągłymi ze zdumienia. - Santo Ferrara, jeden z właścicieli Ferrara Resorts, właśnie wszedł do naszej restauracji, a ciebie to nic nie obchodzi? Każdego klienta, nawet takiego, którego stać tylko na frytki i piwo, traktujesz z rewerencją jak udzielnego księcia, a kiedy pojawia się ktoś naprawdę wyjątkowy, prawdziwy milioner, ignorujesz go. Jeżeli przyszedł tu zjeść, to może...

- Na pewno nie przyszedł tu jeść.

Żaden Ferrara nie usiadłby przy stoliku w lokalu należącym do kogoś z rodziny Baracchich z obawy, że zostanie otruty lub, w najlepszym wypadku, poczęstowany końską dawką środka na przeczyszczenie. Dlaczego więc Santo pojawił się nagle w jej loka-

lu, i to w porze, gdy było tu pełno gości? Musiał mieć jakiś naprawdę niezmiernie istotny powód...

Nagła, przerażająca myśl sprawiła, że oddech w jej płucach zamienił się w płomień.

A jeżeli Santo wie? Jeżeli w jakiś sposób dowiedział się prawdy, którą od trzech lat ukrywała?

Nie!

- Nie - powiedziała na głos, otaczając się ramionami, jakby chciała dodać sobie otuchy. To niemożliwe. Absolutnie niemożliwe.

Nikt nie wiedział.

Stała tak jeszcze chwilę, walcząc z pokusą, żeby uciec tylnymi drzwiami albo schować się w spizarni i poczekać, aż Santo sobie pójdzie. Nie mogła tego zrobić. Już i tak trójka pomocników kuchennych rzuciła jej ukradkowe, zaciekawione spojrzenia. Musiała wziąć się w garść.

Podniosła wysoko głowę i zmusiła się do uśmiechu.

- Kończymy na dzisiaj. Nie ma więcej zamówień, więc możecie już iść. Gina i Francesco pomogą mi zamknąć lokal. Dziękuję.

Kiedy młodzi pomocnicy pospiesznie odwiesili fartuchy i zniknęli, otworzyła oszklone drzwi wiodące na mały boczny taras. Wciągnęła głęboko powietrze przesycone zapachem ziół. W wielkich drewnianych skrzyniach rosły tu wszelkie ich gatunki, potrzebne w kuchni. Sama je uprawiała; lubiła to zajęcie prawie tak bardzo jak gotowanie. Odkąd pamiętała, kuchnia i ogród to był jej azyl. Tutaj szukała ciepła, spokoju i bezpieczeństwa, którego tak bardzo brakowało w jej rodzinnym domu. Tutaj nikt nie odbierał jej wolności, nie tłumił fantazji. Stworzyła to miejsce i dzięki niemu przetrwała. Tutaj czuła, że jest silna.

Ukryła twarz w rześko pachnącym gąszczu delikatnych listków bazylii, pogłaskała rozwichrzoną czuprynę macierzanki. W łagodnych podmuchach morskiej bryzy srebrzysta szalwia kołysała się lekko, a ciemny tymianek o sztywnych, drobnych listkach prężył się niczym żołnierz na warcie. Fia wyciągnęła z ziemi kilka szalotek i zerwała garść

grubych, rozrośniętych pędów lubczyku. Przyrządzi ziołowy dressing, który powinien przez noc postać w lodówce, żeby bukiet smaków w pełni się rozwinął.

Wróciła do kuchni, ostrożnie, jak saper wchodzący na pole minowe. Opłukała szalotki i zioła, sięgnęła po deskę do krojenia i ostry nóż. Zabrała się do pracy, napięta jak struna, czekając na nieuniknione.

Nie czekała długo.

- *Buonasera*, Fia.

W głębokim, męskim głosie było coś mrocznego i miękkiego, coś, co przywodziło na myśl panterę czającą się do skoku. Fia nie miała cienia wątpliwości, do kogo należy ten głos, choć słyszała go po raz pierwszy w życiu. Obróciła się gwałtownie, zaciskając palce na nożu. W drzwiach kuchni stał Santo Ferrara.

Czy to możliwe, że nie widziała go od trzech lat? Teraz, kiedy na niego patrzyła, zdawało jej się, że to było wczoraj. Tak dobrze pamiętała intensywne spojrzenie jego czarnych oczu, w których lśniła żywa inteligencja i żelazna determinacja. Jego wyrazistą twarz, śmiało zarysowane łuki brwi pod wysokim czołem, misternie wyrzeźbione usta, których twardy grymas niezmiennie budził w niej jakąś dziwną, dojmującą tęsknotę... Jego szerokie ramiona, których kształt, piękny i dumny, wywoływał dreszcz zachwytu i pożądania, sprawiał, że opuszki palców mrowiły zachłanną niecierpliwością. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sylwetkę smukłą i sprężystą. Wiedziała, że nienagannie skrojony ciemny garnitur skrywał ciało o żelaznej muskulaturze. Był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała.

Każda normalna kobieta w obecności Santa Ferrary uśmiechałaby się uroczo, słała mu zalotne spojrzenia, a w duchu zanosila żarliwe modły, żeby zwrócił na nią uwagę. Fia czuła, że narasta w niej dzika wściekłość. Miała ochotę rzucić mu się do gardła i zatopić w nim zęby albo z całej siły grzmocić pięściami w jego szeroką pierś. Tak mocno, żeby zabrakło mu tchu. Wszystko dlatego, że w jego obecności czuła się bezbronna. A było to uczucie, którego nie znosiła.

- Santo. Cóż za niespodzianka. - Zmrużyła oczy, uśmiechając się samymi ustami. Jej ton był nienagannie uprzejmy i zupełnie bezbarwny. - Sprawdzasz, co słyhać u konkurencji?

- Owszem - powiedział swobodnie, idąc powoli w jej stronę. - Dotarli do mnie pogłoski, że prowadzisz niezłą restaurację. Przyszedłem się przekonać, ile w tym prawdy.

Czyli chodzi o biznes. Santo o niczym nie wie, przemknęło Fii przez myśl, i ulga sprawiła, że ugięły się pod nią kolana. Nie wie. Gdyby wiedział... nie przyszedłby tutaj, żeby się z nią prekomarzać. Przyszedłby, żeby ją zniszczyć.

- Masz informacje z dobrego źródła, bo tak się składa, że moja restauracja jest najlepsza na wyspie. Ale, niestety, nie będziesz mógł się o tym przekonać na własnej skórze, bo na dzisiejszy wieczór wszystkie miejsca są zarezerwowane.

- Jesteś tu szefową. Możesz w każdej chwili załatwić dla mnie stolik.

- Oczywiście, że mogę. Ale nie chcę. Baracchi i Ferrara przy wspólnym posiłku? Nic dobrego by z tego nie wynikło - rzuciła, siląc się na lekki ton.

Nie odpowiedział. W milczeniu podszedł do niej blisko, tak blisko, że musiała oprzeć się o kuchenny blat, żeby zachować dystans. Uśmiechnął się, a ona westchnęła bezgłośnie, wpatrzona w jego usta.

Wiedziała, że pomyśleli o tym samym. O nocy, kiedy to pewien Ferrara i pewna Baracchi posunęli się o wiele dalej niż wspólne spożywanie posiłku. Gdy rzucili się na siebie jak wygłodniali drapieżcy, żeby pożerać się nawzajem, ucztować dziko, aż do pełnego nasycenia i całkowitego wyczerpania. Wciąż jeszcze pamiętała smak jego zachłannych ust, upajające ciepło ich niespodziewanej, gorączkowej bliskości i jego wspa- niałą, męską siłę, gdy nacierał na nią, zatracił się w niej, sprawiając, że wibrowała wszechogarniającą, niewiarygodną rozkoszą.

Nie umiałyby wyjaśnić, co stało się tamtej nocy. Pamiętała, że czuła się fatalnie - przybita i bezradna. Zasyłała się więc w swojej tajnej kryjówce na plaży, w miejscu, które upodobała sobie od dziecka. Bliskość morza przynosiła jej ukojenie. Kiedy ją odnalazł, siedziała skulona, z kolanami podciągniętymi pod brodę i twarzą ukrytą w dłoniach. Nie poruszyła się. Dopiero gdy usiadł tuż obok i objął ją przyjacielskim, trochę nawet nieśmiałym gestem, podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Tonęła w odmętach smutku i samotności, a on emanował pewnością siebie i potężną, pozytywną witalnością. Chwyła się go, jak tonący chwyta się życia. A w następnej chwili ogarnęło ich szaleństwo, którego żadne z nich się nie spodziewało. Rzeczywistość zbladła i znikła, wszystko

przestało się liczyć, było tylko pragnienie, którego nie dało się wyrazić słowami. Mówiły o nim ich rozedrgane palce, rozchylone wargi i urywane oddechy. Szelest ubrań, które zrywali z siebie i rzucali na ziemię. Ich otwarte ramiona, ich ciała splatające się w uścisku.

A kiedy szaleństwo minęło, nie było im dane dzielić leniwych chwil, kiedy to leże-liby wtuleni w siebie, nasyceni i wyczerpani, zastanawiając się, jak ochronić skarb, który przed chwilą wspólnie odkryli. Albo gdy, zażenowani, wkładaliby pomięte ubrania, wyznając sobie, że popełnili błąd, którego nigdy, przenigdy nie zamierzają powtórzyć. Bo wtedy właśnie rozdzwonił się jej telefon, a kilka sekund później zawtórowała mu komórka Santa. Dowiedzieli się niemalże jednocześnie, że jej brat miał poważny wypadek. To było tak, jakby rozdzieliła ich jego krew. Rozstali się w śmiertelnej ciszy.

Nie spotkali się więcej. Santo nie miał pojęcia, że tamta noc zmieniła jej życie na zawsze.

Biorąc pod uwagę okoliczności, tak było najlepiej. Dla wszystkich. Ale jeżeli chciała utrzymać status quo, musiała pozbyć się Santa Ferrary ze swojego terytorium. Jak najprędzej.

- Przepraszam cię bardzo, ale nie mam czasu. Muszę wracać do pracy - powiedziała sztywno.

- A ja muszę pomówić z twoim dziadkiem. - Santo cofnął się o krok. Nie uśmiechał się już; ton jego głosu był rzeczowy, pozbawiony jakichkolwiek emocji. - Powiedz mi, gdzie go znajdę.

A jednak interesy. Czy Ferrarowie nigdy nie rezygnują?!

- Chyba życie ci nie miłe. - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Przecież doskonale wiesz, że mój dziadek, delikatnie mówiąc, nie szaleje za tobą.

- A czy twój dziadek wie - wycedził, patrząc na nią spod zmrużonych powiek - że jego wnuczka za mną szaleje?

Nóż migotał w jej dłoni, kiedy siekała szalotki w drobniutką kosteczkę. Ani na chwilę nie zmyliła rytmu, choć przerażenie pozbawiło ją tchu. Czyżby Santo jej groził? Zamierzał ją szantażować ich wspólną przeszłością? Może uważał, że ma na nią haka i zamierzał to wykorzystać w pertraktacjach z Giuseppe?



- Mój dziadek jest w bardzo podeszłym wieku i ostatnio nie czuje się dobrze - powiedziała, starając się panować nad głosem. - Nie pozwolę, żebyś zawracał mu głowę. Jeżeli przyszedłeś porozmawiać o interesach, to możesz załatwić to ze mną. Zwłaszcza że to ja jestem właścicielką Budki Ratownika.

- Owszem, ale właścicielem gruntu jest Giuseppe.

- Chcesz kupić naszą ziemię?

- Może o tym nie wiesz, ale to była kiedyś nasza ziemia. - Jego głos był teraz lodowaty. - Cała zatoka należała do Ferrarów. Aż do dnia, kiedy jeden z twoich uroczych przodków wydarł ją mojemu prapradziadkowi, uciekając się do szantażu. Ale nie musisz się obawiać, nie zamierzam iść w jego ślady. Jestem gotów zapłacić duże pieniądze, żeby odzyskać tę ziemię.

Fia wrzuciła posiekane szalotki do kamionkowego naczynia i zaczęła kroić liście lubczyku. Wytrawny, korzenny zapach wypełnił kuchnię. Pochylona nad blatem, pozwoliła sobie na ciche westchnienie ulgi. Santo naprawdę miał na myśli tylko pertraktacje biznesowe. Nie przyszedł tu, żeby odgrzebywać ich wspólną przeszłość. Choć w zasadzie niewiele wiedziała o młodszym z braci Ferrarów, instynktownie czuła, że ma do czynienia z człowiekiem prawym. Ponieważ nosiła nazwisko Baracchi, mogła się spodziewać, że uważa ją za przeciwnika. Ale nawet jeśli mieliby walczyć, Santo walczyłby uczciwie. Dopóki stawką był tylko biznes, nie miała się czego obawiać. Mogła nawet poczuć dreszcz ekscytacji. Bo prawda była taka, że Fiammetta Baracchi lubiła wyzwania.

- Jestem najzupełniej pewna dwóch rzeczy - powiedziała spokojnie. - Po pierwsze, że nie jesteśmy odpowiedzialni za to, co nasi przodkowie zrobili lub czego nie zrobili, dopóki nie ma dowodów, a tylko pogłoski. I po drugie, że mój dziadek nigdy, przenigdy nie sprzeda ci ziemi, więc nie ma sensu, żebyś go niepokoił. Zwłaszcza że ostatnio jest słaby i szybko się męczy. Niepokoję się o jego serce.

- Twój dziadek może i ma prawie sto lat, ale to człowiek nie do zdarcia. Założę się, że jest zdrowy jak koń i nie potrzebuje ochroniarza w twojej osobie.

Fia przerwała siekanie ziół i obróciła się, nie wypuszczając noża z dłoni.

- Jest dziewiąta wieczór. Mój dziadek o tej porze nie przyjmuje już interesantów. A z całą pewnością nie przyjmuje ich w mojej kuchni. Najlepiej więc będzie, jeżeli sobie pójdziesz - zaakcentowała wypowiedź oszczędnym, ale wymownym ruchem noża.

- Tak bardzo się mnie boisz, że musisz grozić mi nożem? - Uniósł brew, autentycznie rozbawiony. - Dobrze wiesz, że mógłbym w jednej chwili cię rozbroić.

- Jesteś pewien? - Zmrużyła oczy. - Spróbuj.

Powietrze między nimi zadrgało od napięcia; zdawało się, że temperatura wokół podskoczyła o kilka stopni. Stali nieruchomo, wpatrzeni w siebie, oboje gotowi do ataku...

Chyba musiałam zwariować, pomyślała Fia. Powinna się go pozbyć, ostatecznie zniechęcić do kolejnych wizyt. To było najważniejsze. Od tego zależało... przetrwanie. Tymczasem, jakby za nic mając zdrowy rozsądek, prowokowała go. Albo pozwalała się prowokować. Wdawała się w rozgrywkę, która była tyleż nieodpowiedzialna, co ekscytująca. Bo rozumieli się bez słów. Czują wyraźnie, jak narastają pomiędzy nimi emocje, zgodne, harmonijne i groźne, jak taniec godowy skorpionów. Czy była to wrogość? Nie, na pewno nie. Raczej niebezpieczna fascynacja. Ożywienie budzące w głębi ciała fale skoncentrowanej energii. Magnetyczne przyciąganie, które już kiedyś wymknęło im się spod kontroli. Kiedy byli razem, potrafili uwolnić coś, co intensywnością nie ustępowało potędze żywiołów.

Nie mogli być razem. Wiedziała o tym dobrze i ta świadomość nie powinna wywoływać w niej bolesnego ukłucia żalu. „Pamiętaj, dziecko, nigdy nie zadawaj się z Sycylińczykiem” - tyle zdołała wyszlochać jej matka, kiedy tuliła ją do siebie po raz ostatni. Ośmioletnia wówczas Fia nie wiedziała, co zdziwiło ją bardziej - ten nagły przyływ uczuć u obojętnej zwykle mamy, czy fakt, że zaraz potem mama znikła, i nie pojawiła się więcej. Kiedy była starsza, zrozumiała, że dziecinna Irlandka popełniła życiowy błąd, kiedy wyszła za mąż za Piera Baracchiego. Zakochała się do szaleństwa w mrocznym, tajemniczym i przystojnym jak sam diabeł nieznanym. Wyobraziła sobie, że życie u jego boku pod słońcem Sycylii będzie przypominać romantyczną powieść. Myliła się, i to bardzo. Jej sycylijski mąż okazał się człowiekiem zapalczywym i grubiańskim. Zrobił jej dwójkę dzieci, które urodziła raczej z bezradności niż z miłości, oraz niezliczoną ilość

siniaków. Gdy wreszcie zdobyła się na odwagę, żeby odejść, zażądał, żeby zostawiła mu dzieci. Była zbyt zniszczona psychicznie, zbyt słaba, żeby walczyć. Fia i jej brat wychowywali się więc u ojca, który zatrzymał ich chyba tylko po to, żeby mieć na kim wyładowywać złość. Dostawało się zwłaszcza jej, może dlatego, że urodę odziedziczyła po matce. Rosła więc samotna, płochliwa i nieufna jak dzikie zwierzątko. A potem spotkała Sycylijczyka. I choć nie była słaba ani naiwna jak jej matka, znalazła się w podobnym niebezpieczeństwie.

Nie mogła dopuścić do tego, żeby sytuacja się powtórzyła.

- Na spotkanie z dziadkiem możesz umówić się telefonicznie, choć naprawdę nie wiem po co. A teraz muszę cię, niestety, przeprosić, bo mam pilną pracę.

Uśmiechnęła się zdawkowo, jak osoba, która próbuje w uprzejmy sposób pozbyć się natręta, i wróciła do siekania ziół. Szalotka i lubczyk - proste, genialne połączenie smaków, które stworzyła sama arcymistrzyni natura. Żeby je podkreślić, doda oliwę z pierwszego tłoczenia, świeżo zmielony pieprz, morską sól...

Mocna, śniada dłoń przykryła jej rękę. Fia stłumiła okrzyk, wyprostowała się gwałtownie i oparła plecami o twardą, męską pierś. Santo stał tuż za nią.

- Pamiętasz...? - powiedział prawie bezgłośnie, z ustami tuż przy jej uchu.

Czy pamiętała? Boże drogi, jak mogłaby zapomnieć choć na chwilę? Wspomnienie tamtej nocy było z nią cały czas. Santo nie miał pojęcia, jak bardzo było żywe, konkretne i absorbujące.

Nie odpowiedziała, a on się nie odsunął.

Stali tak, bez drgnienia, bez tchu, czując, jak narastające pożądanie tętni w skroniach, jak pełga coraz jaśniejszym płomieniem wewnątrz ich ciał. Wreszcie ona uniosła ku niemu twarz, a on odszukał jej spojrzenie wzrokiem, w którym szalał pożar...

Drzwi prowadzące na zaplecze otworzyły się nagle.

- Szefowo? Pewien przystojny młodzieniec bardzo się za tobą stęsknił - odezwała się miękko Gina, przestępując próg kuchni.

Fia nie odsunęła się od Santa. Nie zdążyła. Dostrzegła ponad ramieniem Giny małą główkę o czarnej, potarganej od snu czuprynie, i zrozumiała, że przepadła. W ułamku sekundy poprzedzającym katastrofę, której następstw nie umiała nawet sobie wyobrazić,

zdążyła jeszcze pomyśleć, że tylko niewiarygodnemu szczęściu zawdzięcza, że udało jej się utrzymać sekret przez całe trzy lata. Ale to szczęście właśnie się skończyło. Jej sekret, wyrwany ze snu, szlochał rozpaczliwie, wyginając buzię w podkówkę.

Sparaliżowana przerażeniem, bezradna, mogła tylko obserwować rozgrywającą się przed nią scenę, jakby oglądała film puszczony w zwolnionym tempie: Gina niosąca w ramionach płaczące dziecko, Santo cofający się o krok, zwracający spojrzenie w ich stronę... Chłopczyk wyciągający rączki do mamy, wyrywający się swojej opiekunce... Oszupienie malujące się na twarzy mężczyzny, który jeszcze nic nie rozumie...

- Musiało mu się przyśnić coś złego, bo obudził się z płaczem. - Gina mocniej przytuliła chłopca. - Pomyślałam, że przyniosę ci go na chwilę, a sama zacznę sprzątać ze stolików. Już dobrze, maleńki - zwróciła się do dziecka, podając je Fii. - Twoja *mamma* jest tutaj, widzisz, cały czas tu była, tuż obok, za ścianą. Zaraz cię utuli, uspokoi i zaśniesz jak suseł.

Fia nie wahała się ani chwili. W obliczu zbliżającej się katastrofy, świadoma, że Santo Ferrara przygląda jej się spod zmarszczonych brwi, wzięła synka od Giny, posadziła go sobie na biodrze i zakołysała się płynnie, kojąco, ze swobodą wynikającą z codziennej wprawy.

W następnej chwili dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Chłopiec przestał płakać i zerknął ciekawie na wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który stał obok jego mamy.

A ów mężczyzna popatrzył w oczy chłopca, które były tak czarne jak jego własne, i gwałtownie pobladł.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- *Dio mio...!*

Z głuchym jękiem, w którym ledwo można było rozpoznać mowę artykułowaną, Santo cofnął się gwałtownie, jak człowiek, któremu grunt osuwa się spod nóg. Łapiąc równowagę, oparł się ciężko na kuchennym blacie. Wyszorowane na błysk garnki, ustawione jeden na drugim i gotowe do schowania, przewróciły się z ogłuszającym brzękiem.

Czarnowłosy chłopiec pisnął ze strachu i wtulił buzię w matczyne dekolty.

Naprzeciwko niego czarnowłosy mężczyzna stał nieruchomo pośród przewracanych garnków i z trudem łapał oddech.

Cała trójka trwała tak, bez słowa i bez drgnienia, przez nieznośnie długą chwilę. Pierwsze poruszyło się dziecko. Znad ramienia Fii wychyliła się mała główka, najeżona gąszczem kosmyków czarnych jak atrament. Pod potarganą grzywką błyszczało dwoje bystrych, czarnych oczu, szeroko otwartych z zaciekawienia.

Santo patrzył na chłopca jak urzeczony.

Nie musiał o nic pytać jego matki, sprawa była najzupełniej oczywista, choć jednocześnie - absolutnie niewiarygodna. Miał przed sobą własne dziecko. Podobieństwo było uderzające, ale nawet gdyby tego nie zauważył, zachowanie Fii powiedziałoby mu wszystko. Twarz jej pobladła, jakby odpłynęła z niej cała krew. Jej usta, tak blade, że wyróżniające się właściwie tylko kształtem, drżały lekko, choć widać było, że z całych sił próbuje nad sobą panować. Jej ogromne oczy pełne były niemej grozy, a mięśnie ramion - napięte, jakby się bała, że Santo będzie próbował wydrzeć jej dziecko przemocą.

Mignęła mu myśl, że jej obawa jest płonna. Na razie nie miał siły się ruszyć. Z trudem nawet oddychał.

Jestem ojcem.

Rosło w nim jakieś uczucie, którego nie umiał nazwać. Wystarczyła chwila, gdy wpatrywał się w ciemne oczy chłopca, a uczucie to stało się tak potężne, jakby miało rozsadzić go od środka. Zdawało mu się, że jego ciało i umysł, całe jego jestestwo jest za małe, o wiele za małe, żeby pomieścić to, co czuł.

A czuł, że żyje. O wiele mocniej, o wiele intensywniej niż kiedykolwiek przedtem. Jakby w spojrzeniu tego chłopca odnalazł najprostszą i zarazem najbardziej przekonującą odpowiedź na pytanie o sens istnienia. Mój synek.

Potężne uczucie, które go przepełniało, streszczało się w tych dwóch słowach. Santo stał, oniemiały wobec niespodzianki, jaką zgotował mu los. Wiedział, z niezachwianą pewnością instynktu, że odtąd chce żyć dla tego dziecka. I że mógłby dla niego umrzeć.

W następnej chwili przyszedł ból, tępy, dławiący, nieludzki. Dlaczego? Dlaczego dopiero teraz się dowiedział, że ma dziecko? Nie tak wyobrażał sobie ojcostwo. Ostatnio, kiedy jego siostra i brat założyli rodziny, sporo o tym myślał. Był przekonany, że prędzej czy później pójdzie w ślady Cristiana i Dani. Zakocha się, weźmie ślub i będzie miał dzieci, które wniosą w jego życie niepojęte szczęście i niesłychane zamieszanie.

Tymczasem jego syn urodził się ponad dwa lata temu, a on nic o tym nie wiedział. Nie dotykał brzucha kobiety, którą uczynił brzemienną, żeby poczuć pierwsze ruchy dziecka. Nie trzymał jej za rękę, kiedy zmagala się z bólami porodowymi, wydając na świat syna. Nie przewijał małego, nie nosił, gdy męczyły go kolki i nie mógł zasnąć. Nie widział, jak stawia pierwsze kroki. Nie słyszał, jak wypowiada pierwsze słowa...

Odebrano mu to wszystko. Ta świadomość bolała tak, jakby wyrwano mu serce. Jęknął głucho. Gdyby nie był cywilizowanym człowiekiem, zaczęłby wyć jak zwierzę.

W tej samej chwili buzia dziecka wykrzywiła się, a usta znów zaczęły drżeć. Santo miał wystarczające doświadczenie z dziećmi, żeby wiedzieć, że malec zaraz się rozplacze. Ogromnym, niemal nadludzkim wysiłkiem woli nakazał sobie spokój. Jego synek nie będzie się go bał. Nigdy, niezależnie od okoliczności, nie zachowa się przy nim tak, żeby doprowadzić go do płaczu.

Unikając spojrzenia Fii, uśmiechnął się do dziecka.

- Czemu szanowny pan jeszcze nie śpi? - spytał z komiczną powagą. - Trzeba szybko iść do łóżeczka, żeby jutro mieć siły do zabawy!

Fia pocałowała synka w czubek głowy. Ona też unikała wzroku Santa.

- Ależ on spał - powiedziała szybko. - Tylko się obudził. Czasami ma złe sny...

Jego dziecko miało koszmary. Ta wiadomość bynajmniej nie przyniosła mu ulgi. Co mogło je spowodować? Czy malec był maltretowany? Biorąc pod uwagę sposób, w jaki Baracchi zwykli traktować dzieci, było to niewykluczone. Santo poczuł, że ogarnia go zgroza.

Do kuchni weszła kelnerka, ledwo widoczna zza sterty brudnych talerzy.

- Pani jest Gina, prawda? - zwrócił się do niej Santo.

- Tak, panie Ferrara. - Dziewczyna odstawiła tacę, a kiedy Santo uśmiechnął się do niej, spiekła raka.

- Chciałbym przez chwilę pomówić z panią Baracchi na osobności - powiedział spokojnie, dziękując opatrności za umiejętność odcięcia się od własnych uczuć, ukrycia ich pod maską uprzejmego uśmiechu. Bo teraz musiał wcielić się w rolę zręcznego negocjatora. Z jego punktu widzenia sytuacja wyglądała tak, że niepoczytalna rodzina Baracchich trzymała jego syna jako zakładnika. Jeśli nie chciał pogorszyć sytuacji, powinien zachowywać się możliwie spokojnie i ostrożnie.

- Nie! - wybuchnęła Fia, przyciskając do siebie dziecko. - Teraz nie mogę. Naprawdę nie mogę...

- Ależ możesz - wtrąciła się Gina, przekonana najwyraźniej, że jej interwencja wybawi szefową z kłopotu. - Porozmawiaj spokojnie z panem Ferrarą, a ja tymczasem położę tego obywatela spać. - Wzięła dziecko z ramion Fii, a te natychmiast opadły bezwładnie wzdłuż jej ciała. - Pracuję tu na dwa etaty - pochwaliła się, posyłając Santowi promienny uśmiech. - Jestem kelnerką i nianią.

- Nianią...? - wykrztusił, ukrywając dłonie w kieszeniach i zaciskając je w pięści, w geście bezsilnej frustracji. No tak. Fia Baracchi podrzucała dziecko obcej osobie. Zresztą, nie było w tym nic dziwnego. Trudno oczekiwać, by była oddaną matką, biorąc pod uwagę, jak wyglądało jej własne dzieciństwo. - Opiekuje się pani... nim?

- Wszyscy się nim opiekujemy - oznajmiła blondynka radośnie, kołysząc chłopca w ramionach. - Fia, Francesco i ja. Nasze małe wychowujemy razem. A że na razie małe jest tylko jedno, okropnie je rozpieszczamy. Dyżuruję przy nim, kiedy Fia pracuje, ale ponieważ pokójki dziecienny urządziliśmy na zapleczu, mały może mieć mamę przy sobie w każdej chwili, kiedy tylko potrzebuje.

Ruszyła w stronę zaplecza, nie przestając kołysać dziecka.

- Oczki już ci się zamykają, co? - szczebiotała. - Chodź, ciocia Gina położy cię do łóżeczka...

W kuchni zapadła cisza.

Fia wbiła wzrok w ziemię i przygryzła wargę.

Santo rozpaczliwie szukał słów. On, zręczny mówca, który dotąd zawsze wiedział, co powiedzieć, żeby uzyskać pożądany efekt, potrafił zaciekawić, rozbroić albo zmotywować rozmówców, przekonać kontrahentów, zmusić do posłuchu podwładnych, teraz miał w głowie zupełną pustkę.

- Jak to...? Dlaczego...? - wydusił wreszcie.

- Jak? Przecież wiesz - odparła cicho. - Dlaczego? Chyba rozumiesz.

Potrząsnął głową. Nie rozumiał. Nie wiedział, jak z nią mówić, a ona ani trochę nie ułatwiała mu zadania.

Byli dwojgiem obcych ludzi, którzy nigdy ze sobą nie rozmawiali. A teraz okazało się, że mają razem dziecko.

Santo popatrzył na drzwi, za którymi zniknęła Gina z ciemnookim chłopcem w ramionach. Gdyby mógł, wtargnąłby tam, porwał malca na ręce i zabrał go do domu. Nie chciał tracić go z oczu. Obiecał sobie, że ich rozstanie nie potrwa długo. Niebawem ten mały chłopiec stanie się częścią jego życia. Już na zawsze. Uchwycił się tej myśli jak tonący koła ratunkowego.

- Jak... on... ma na imię? - spytał, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

- Lucas - wyszeptała w odpowiedzi.

- Lucas - powtórzył z dreszczem i popatrzył na szczupłą kobietę stojącą nieruchomo pośrodku kuchni.

Ponad jej twarzą, która wciąż była biała jak papier, wysoko upięte włosy zdawały się płonąć żywym ogniem. Jej duże szare oczy były pełne straceńczej determinacji.

Kiedy wziął ją za rękę, nie zaprotestowała. Pozwoliła, żeby poprowadził ją do drewnianego stołu ustawionego we wnęce pod oknem, gdzie personel Budki Ratownika mógł odpoczywać w czasie krótkich przerw w pracy. Posadził ją na krześle, a sam usiadł



naprzeciwko. Otoczyło ich łagodne światło wiszącej nisko nad stołem lampy o wiklinowym kloszu.

Milczał przez chwilę, zbierając myśli. Była matką jego dziecka, najważniejszą osobą w życiu Lucasa, i pozostanie nią, niezależnie od okoliczności. Musieli się porozumieć. To było w tej chwili najważniejsze.

- Powinnaś była mi powiedzieć - odezwał się z powagą. - Nic, absolutnie nic nie powinno było cię przed tym powstrzymać. Ani ta idiotyczna rodzinna waśń, ani...

Fia potrząsnęła głową i zacisnęła dłonie na blacie stołu.

- Gdybym ci powiedziała, mój syn znalazłby się dokładnie w centrum tej idiotycznej waśni! - wybuchnęła.

- To jest także mój syn. - Santo pochylił się nad stołem. - Razem powołaliśmy go na świat. Nie wyprzesz się tego.

- Nie, nie wyprę się tego. - Spojrzała mu prosto w oczy. - A ty przyznasz, że tamtej nocy oboje zachowaliśmy się jak ludzie niepoczytalni. Popelniliśmy błąd. Ale ty nie musisz ponosić jego konsekwencji - dodała szybko. - Nie oczekuję od ciebie, że będziesz się poczuwał do odpowiedzialności za dziecko. Przecież nie planowałeś zostać ojcem. Zapewniam cię, że ja i Lucas radzimy sobie bardzo dobrze. Możesz spokojnie wrócić do swojego życia, bądź pewien, że ani ja, ani mój syn nie będziemy wysuwać żadnych roszczeń wobec ciebie. Żeby uprościć sprawę, w metryce urodzenia podałam, że ojciec jest nieznany...

- Dość! - warknął, przerywając potok jej słów. - Ojciec nieznany?! Raczej utrzymywany w nieświadomości! Zataiłaś przede mną, że mam dziecko, a teraz, kiedy prawda wyszła na jaw, wielkodusznie pozwalasz mi postąpić wobec niego jak ostatni drań?! Jakim prawem podejmujesz decyzje za mnie? Powinnaś była mi powiedzieć, że jesteś w ciąży, kiedy tylko się zorientowałaś. Razem byśmy...

- Razem? - zaśmiała się gorzko. - Nie żartuj sobie ze mnie. Przecież my w ogóle nie byliśmy razem, oprócz tych kilku nocnych godzin. Nic nas nie wiąże, wręcz przeciwnie, wszystko nas dzieli. To nie była zwykła, pocziwa miłosna przygoda, która zakończyła się nieplanowaną ciążą. Nasza sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana.

- Fakt, sytuacja jest skomplikowana. Ale decyzja, żeby powiedzieć mi o dziecku, powinna być raczej prosta. - Uniósł ręce i gwałtownym gestem zanurzył palce we włosach. Miał wrażenie, że czaszka za chwilę mu pęknie od natłoku chaotycznych myśli, od nadmiaru pytań, na które nie znał odpowiedzi. - Dlaczego postanowiłaś milczeć? Czy to był pomysł twojego dziadka? Namówił cię, żebyś zataiła przede mną istnienie dziecka w ramach wyrafinowanej zemsty za krzywdy, jakich rzekomo doznał od naszej rodziny?

- Ależ skąd! - zachnęła się, rzuciła szybkie spojrzenie w stronę drzwi i odruchowo ściszyła głos. - Mój dziadek nie ma z tym nic wspólnego.

- *Madre de Dio...!* - wyrwało się Santowi. - On nie wie, prawda?

- Posłuchaj, to nie twoja... - Odwróciła wzrok i chciała wstać, ale zatrzymał ją, przykrywając dłonią jej rękę.

- Odpowiedz mi na pytanie - wycedził nieswoim głosem. - Nie powiedziałaś Giuseppe, kto jest ojcem Lucasa?

- Jak mogłam mu powiedzieć? - westchnęła i przygarbiła się, jakby przytłaczał ją ciężar, którego nie miała już siły dźwigać.

Patrzył na nią bez słowa. Odwzajemniła spojrzenie; nie sprawiała już wrażenia chłodnej ani zamkniętej w sobie. Była po prostu wyczerpana. Twarz miała ciągle nienaturalnie bladą, pod zmęczonymi oczami zauważył sine cienie. Ze zdumieniem odkrył, że w jakimś sensie jej współczuje. Jak mogła żyć, dzień w dzień, przez trzy lata, zupełnie sama z tajemnicą takiego kalibru? Tysiąc wieczorów, kiedy zasypiała ze świadomością, że jej najbliżsi nie znają prawdy. Tysiąc poranków, gdy otwierała oczy i zadawała sobie pytanie, czy właśnie nadszedł dzień, w którym ta prawda wyjdzie na jaw...

Jej dziecko było w połowie Baracchim, a w połowie Ferrarą. Już samo to brzmiało jak makabryczny żart, a przecież czarny humor losu na tym się nie kończył. Bo mały Lucas był owocem bardzo szczególnej nocy. Rozpoczęła się wybuchem namiętności o sile supernowej, który pchnął ku sobie dwoje obcych ludzi, olśnionych odkryciem wspólnej bliskości. Zakończyła się szokiem, bólem i żalobą, która rozdarła ich intymność, rozdzieliła niczym przepaść bez dna. Giuseppe Baracchi nie wiedział, że gdy jego wnuk rozstawał się z życiem, wnuczka leżała w ramionach człowieka, którego o tę tragedię obwiniał. Nie wiedział, że w żyłach jego prawnuka płynie krew Ferrarów. Jak to

się mogło stać, że patrząc na chłopca, nie zauważył podobieństwa do człowieka, którego nienawidził? Santo nie mógł tego zrozumieć. On rozpoznał swojego syna na pierwszy rzut oka.

- Nie, to nie do wiary. - Potrząsnął głową, jakby w nadziei, że wszystko, czego dowiedział się tego wieczoru, ułoży się w jakąś spójną całość, którą będzie w stanie zaakceptować.

Na próżno. Nadal, poza niebotycznym zdumieniem, czuł żal, dojmujący żal i tęsknotę za małym człowiekiem, którego widział tylko przez chwilę. Do kroćset, to było jego dziecko! Choć nie planował jeszcze założenia rodziny, dobrze wiedział, co to znaczy być ojcem. W jego rodzinie nikt nie miał problemów ze zrozumieniem, na czym polega ta życiowa rola. Ojciec był tym, który chronił dziecko i pokazywał mu świat. Tym, który zawsze był przy matce, wspierał ją w zdrowiu i w chorobie. Taki był jego ojciec, takimi ojcami byli jego brat i szwagier. Takim ojcem pragnął być on - bliskim, kochającym, otaczającym opieką.

Dlaczego Fia świadomie i z premedytacją pozbawiła swojego synka kontaktu z ojcem? Może dlatego, że nie miała świadomości, że czegokolwiek go pozbawia? Sądziła raczej, że oszczędza małemu życia w ciągłym lęku wywołanym przez ojcowskie wybuchy furii, i bolesnych siniaków, pamiątek po brutalnych ciosach wymierzanych przez wielkie, męskie łapska.

Jej dzieciństwo tak właśnie wyglądało. Cała wyspa wiedziała, że żona Piera Baracchiego, gdy miała już dość bycia workiem treningowym, po prostu wzięła nogi za pas, zostawiając dwoje małych dzieci pod opieką porywczego, agresywnego ojca. Santo wiedział nawet więcej, bo nadmorski dom, w którym mieszkała rodzina Ferrarów, przylegał do dużego, pustego fragmentu plaży należącego do Baracchich. Sąsiedzi unikali wszelkich kontaktów, ale Santo widywał czasem drobną rudowłosą dziewczynkę, która wymykała się samotnie nad morze. Pamiętał siniaki na jej policzkach i ramionach. Był od niej starszy, ale nie na tyle, żeby rozumieć, co widzi - w jego szczęśliwym świecie siniaki zawsze były pamiątką po jakiejś szalonej, nieostrożnej zabawie. Dopiero kiedy pewnego dnia Pietro Baracchi, pijany w sztok, wypłynął motorówką na pełne morze i zginął na miejscu w czołowym zderzeniu z towarowym promem, a opiekę nad dziećmi przejął

dziadek Giuseppe, mała Fia przestała chodzić posiniaczona. Santo nie sądził jednak, by ten ponury zrzęda zajmował się nią choć trochę lepiej niż jego syn. Tyle tylko, że miał mniej energii, żeby się na niej wyżywać.

- Przez trzy lata robiłaś wszystko po swojemu - podjął tonem, który zdecydowanie zniechęcał do dyskusji. - Ale obojętnie, jak dobre miałaś chęci, do tamtego układu już nie ma powrotu. Nie sądzisz chyba, że pozwolę, żeby moje dziecko wychowywało się bez ojca, i na domiar złego w twojej rodzinie? Zaczniemy od tego, że Baracchi w ogóle nie wiedzą, czym dla dziecka powinna być rodzina. Kiedy pomyślę, przez co musiał przejść Lucas...

Skuliła się, jakby ją uderzył, ale zaraz podniosła głowę.

- Insynuujesz, że Lucasowi dzieje się krzywda?! Na jakiej podstawie?

- Wiem, jak wyglądało twoje dzieciństwo - powiedział cicho. Może nie widywał jej codziennie, ale pamiętał jej smutek i samotność. Pamiętał też, że nigdy nie widział jej płaczącej, nawet wtedy, gdy zostawiła ją matka. Mała Fia bardzo wcześnie nauczyła się, że najlepiej jest ukrywać swoje uczucia. Aby przetrwać w domu Piera Baracchiego, nie należało zwracać na siebie uwagi. - Prawda jest taka, że nie masz dobrych wzorców. Nie miałaś ich skąd wziąć.

Nie zaprzeczyła. Odetchnęła głęboko, raz, drugi, jakby zbierała siły.

- Lucas jest szczęśliwym, wesołym dzieckiem - podjęła po chwili. Głos miała spokojny i stanowczy. - A jego dzieciństwo w ogóle nie przypomina mojego. Nie próbuj mi wmówić, że jestem złą matką.

- Nie wiem, jaką jesteś matką - powiedział chłodno. - Jedno natomiast wiem na pewno. Od dzisiaj nie jesteś już samotną matką. Bo Lucas ma także ojca.

Spojrzała na niego czujnie, jakby spodziewała się ataku. W jej oczach był niepokój.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Trzy lata temu postanowiłaś wykluczyć mnie z życia mojego syna. Teraz przyszedł czas na moją decyzję w tej kwestii.

Niepokój w jej oczach zamienił się w panikę.

- To jest też mój syn! - wyrzuciła z siebie.

- Owszem. - Wstał, patrząc na nią z powagą. - I dlatego mamy przed sobą... interesujące wyzwanie. Pożegnaj się teraz i pojedź do domu, żeby w spokoju wszystko przemyśleć. Jutro dam ci znać, co postanowiłem.

Podniosła się także, obserwując go bez słowa. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem w jakiejś dziwnej, jakby nierzeczywistej ciszy, tłocznej od myśli, których nie umieli wyrazić, i od uczuć, wobec których czuli się bezradni. Wreszcie on odwrócił się i odszedł, a ona patrzyła na jego wysoką, ciemną sylwetkę z tęsknotą, której nie potrafiła zrozumieć.

Kiedy głuchy ryk silnika obwieścił, że czarne lamborghini z jego właścicielem na pokładzie opuściło parking przy Budce Ratownika, Fia poczuła nagle, jak bardzo jest wyczerpana. Półprzyciennie rozejrzała się po kuchni. Trzeba było jeszcze tylko załadować resztę brudnych naczyń do zmywarki i wyszorować blaty. Nic, z czym Gina i Francesco nie mogliby sobie poradzić bez jej udziału. Nie musiała nawet prosić ich o pomoc - byli dobrymi przyjaciółmi i często wyręczali ją wieczorem, żeby miała choć chwilę dla siebie, kiedy Lucas spał.

Lucas...

Zdjęła fartuch, machinalnie wrzuciła go do pralki i pobiegła na zaplecze. Urządziła tu dziecinny pokój z niewielkim, słonecznym tarasem, kolorową wykładziną podłogową i mnóstwem zabawek; prawdziwe królestwo małego chłopca. Tutaj Lucas bawił się pod opieką Giny, kiedy Fia pracowała w kuchni. Przez cały dzień miała go tuż obok. Słyszała jego wesołe okrzyki i wybuchy śmiechu, a kiedy tylko zaczynał płakać, mogła w jednej chwili znaleźć się przy nim. Około siódmej po południu, kiedy restauracja była jeszcze pusta przed wieczornym oblężeniem, Fia dawała synkowi kolację, kąpała go i kładła spać. Gdy jej dzień pracy dobiegał końca, zabierała go do domu.

Pochyliła się nad wiklinowym łóżeczkiem, zawinęła śpiące dziecko w kocyk i wzięła je na ręce.

- *Mamma?* - wymruczał Lucas przez sen, otaczając ciepłymi łapkami jej szyję.

Ruszyła do domu, jak co wieczór, niosąc dziecko w ramionach. Nie miała daleko; drewniany pomost zbudowany nad plażą łączył restaurację z niewielkim, kamiennym domem stojącym na końcu cypla, tuż nad wysokim, morskim brzegiem. Od sześciu pokoleń stanowił on rodowe gniazdo Baracchich. Idąc, Fia wtuliła twarz w czuprynę synka.

Pachniał świeżą, słodką niewinnością. Był cudem, który pojawił się w jej życiu, kiedy myślała, że zawsze będzie w nim już tylko pustka i chłód. To on nauczył ją, czym jest czułość, ufność i autentyczna, niczym nieprzyćmiona radość. Kiedy po raz pierwszy na niego spojrzała, to było tak, jakby w jej sercu weszło słońce. Potem, gdy ssał jej pierś, zasypiał w jej objęciach, uśmiechał się do niej i nieporadnie próbował powiedzieć „ma-ma”, czuła, że to słońce ogrzewa ją coraz mocniej. Zaczynała rozumieć, że mroczna rodzinna przeszłość nie jest fatalizmem, który będzie ją prześladował aż do śmierci. Nie była już odrzuconą dziewczynką, lecz kobietą i matką, a w oczach synka widziała bezwarunkową akceptację. Była jego całym światem. Kochała go ponad życie - a raczej, dzięki niemu zaczęła kochać życie. Była dumna z tego, co osiągnęła. Miała własną, coraz lepiej prosperującą restaurację, wspomniałych przyjaciół, którzy praktycznie zastępowali jej i Lucasowi rodzinę, a relacje z dziadkiem Giuseppe były więcej niż poprawne. Bardzo się starała, żeby zapewnić dziecku i sobie bezpieczny, spokojny byt. I udało się. Wychowywała synka i pracowała, robiąc to, co było jej pasją. Osiągnęła harmonię.

Harmonię, która miała lada chwila runąć, rozpaść się i zniknąć jak zamek z piasku zmieciony przez sztorm.

Odruchowo przycisnęła śpiącego chłopca mocniej do siebie, czując okropny, lodowaty dreszcz przerażenia. Santo Ferrara... Czy będzie chciał odebrać jej Lucasa? Czy w imię swojego prawa do dziecka wedrze się z buciorami w ich spokojne życie? Wiedziała, że miał wpływy i pieniądze, które pozwoliłyby mu w jednej chwili zniszczyć wszystko, co z takim trudem stworzyła.

W domu położyła Lucasa do łóżeczka. Chłopiec, przyzwyczajony do cwieczornego spaceru w ramionach mamy, nawet nie otworzył oczu. Przez długą chwilę przyglądała się jego ciemnym rzęsom i okrągłym, rumianym policzkom. Spał mocno i spokojnie, posapując cichutko. Nie miał pojęcia, że jego życie, jakie do tej pory znał, miało się drastycznie zmienić. Co go czeka? Czy stanie się przedmiotem sądowych batalii? Czy jego ojciec zabierze go stąd i umieści w obcym domu, pośród nieznanym mu ludzi? Czując w gardle gorycz łez, pochyliła się i pocałowała mięciutki, ciepły policzek, a potem wyprostowała się i pomaszerowała pod prysznic. Musiała wziąć się w garść; to nie

był czas na łzy. Zresztą, płacz jeszcze nigdy w niczym jej nie pomógł, nie pomoże i tym razem.

Drzwi do łazienki zostawiła uchylone, czujna jak zawsze, choć nie podejrzewała, żeby Lucas miał się obudzić w najbliższym czasie. Rozebrała się - dzinsy i biała koszulka wylądowały na podłodze, w następnej chwili dołączyła do nich prosta, bawełniana bielizna - uwolniła włosy z upięcia i weszła pod prysznic. Odkręciła kran, a potem po prostu usiadła na dnie kabinki podciągnęła kolana pod brodę, pozwalając, żeby mocny, ciepły strumień masował jej plecy i ramiona.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim wreszcie poczuła się lepiej. Przerazenie, które niczym lodowata, bezlitosna pięść zaciskało się na jej wnętrznościach, powoli ustąpiło. Uchwyciła się resztek odwagi i optymizmu, jakie się w niej kołatały, zdecydowana, że nie da się pognać ani okolicznościom, ani już nigdy, przenigdy żadnemu mężczyźnie. Musiała przemyśleć sytuację i zastanowić się nad najlepszą strategią, jaką mogła obrać.

Jakiś czas później, kiedy czesała wilgotne włosy przed lustrem, ubrana w miękkie, szare spodnie z dzianiny i ulubioną bluzę, doszła do wniosku, że taka strategia nie istnieje. Właściwie pozostawało jej tylko jedno - czekać, co przyniesie najbliższa przyszłość, i liczyć na to, że uda jej się zminimalizować straty. Santo był ojcem Lucasa, temu nie mogła zaprzeczyć. On jednak, ze swej strony, nie miał prawa oskarżać jej o to, że wprowadziła go w błąd. Nie okłamała go w sprawie dziecka. Nie miała po temu okazji, bo nie zadał jej żadnego pytania osobiście, przez telefon ani nawet mejlem, choć przecież nie kryła się przed nim - nadal mieszkała we własnym domu, pod adresem, który znał, i prowadziła swoją restaurację. A że nie szukała z nim kontaktu po wspólnej nocy? Cóż, on postąpił dokładnie tak samo.

Nie odezwał się do niej przez całe trzy lata. Pewnie nawet nie przyszło mu do głowy, że ich wspólna noc mogła mieć... konsekwencje. Nie znaczyło to jednak, że Fia z lekkim sercem podjęła decyzję, by wiadomość o ciąży zachować dla siebie. Wręcz przeciwnie - od trzech lat zmagiła się z lękiem i stresem. Przyzwyczyła się już do tego, że nagły niepokój budził ją nad ranem, chwycił za gardło, pozbawiał tchu. Miała zbyt dużo tajemnic. Jej dziadek nie wiedział, że ojcem Lucasa jest człowiek, którego śmiertelnie

nienawidził, uważał niemalże za zabójcę wnuka. A Santo Ferrara nie wiedział, że ma syna...

Jednak jej stres był niską ceną, jaką płaciła, żeby zapewnić Lucasowi spokojne, beztrioskie dzieciństwo. Syn rósł otoczony miłością i harmonią, z dala od napięć, wrogości i kłótni. Za nic w świecie nie pozwoliłaby, żeby stał się zakładnikiem w wojnie pomiędzy Baracchimi i Ferrarami. A była pewna, że gdyby jej dziadek i bracia Ferrara poznali prawdę, z miejsca zaczęliby się bawić w przeciąganie liny, nie pytając, czy Lucas ma ochotę brać w tej zabawie udział, w roli liny właśnie.

Teraz Santo znał prawdę. Spokojne dni minęły bezpowrotnie, to pewne. Może jednak nie ma sensu desperować, powiedziała sobie, wędrując do małej, domowej kuchni. W najgorszym wypadku zapewniła synkowi ponad dwa lata prawdziwego dzieciństwa, jakiego sama nigdy nie miała. Z porannymi spacerami po plaży w towarzystwie mamy, kiedy można było zbierać muszle, karmić mewy i wskakiwać w fale. Z fascynującymi wyprawami do portu, gdzie można było oglądać rybackie kutry, żaglówki i jachty. Z beztrioskimi zabawami pod opieką wesołej, serdecznej Giny i męskimi wyprawami na parking przed restauracją, gdzie razem z Franceskiem oglądali samochody i motocykle gości, przy czym trudno było stwierdzić, który z nich dwóch jest bardziej podekscytowany widokiem potężnych maszyn i lśniących karoserii. A w najlepszym wypadku... Otworzyła lodówkę, wyjęła z niej dobrze schłodzoną butelkę imbirowego piwa, otworzyła ją i chciwie pociągnęła pierwszy łyk zimnego, pianistego napoju. W najlepszym wypadku Santo zareaguje inaczej, niż sobie to pesymistycznie wyobrażała. Boso, z butelką w dłoni wyszła przed dom. Za niewielkim kamiennym tarasem zaczynało się molo wychodzące w morze. Przy sztormowej pogodzie drewnianą konstrukcją zalewały fale, lecz w letnie, spokojne wieczory molo było wymarzonym miejscem wytchnienia. Usiadła na zwietrzałych deskach, wciąż ciepłych po całym dniu upalnego słońca, i pozwoliła, żeby nadbiegające fale łaskotały ją w stopy. Przed nią rozciągało się morze, rozszepcane, czarne i bezkresne. Daleko, na horyzoncie, gdzieniegdzie jarzyły się światła przepływających statków, a na ciemniejącym niebie coraz wyraźniej rysowały się letnie konstelacje. Nie, zdecydowanie nie powinna myśleć o tym, co mogłoby się wydarzyć w najlepszym wypadku, uznała, patrząc na wypunktowany bursztynowymi latarniami od strony



lądu zarys zatoki. Po jej drugiej stronie rzęsiście oświetlony widniał budynek hotelu Ferrara Beach Club. Nie powinna oddawać się głupim, naiwnym marzeniom. Wystarczyło, że śniła o przyszłości, która była zbyt piękna, żeby się ziścić - o miłości, o życiu u boku mężczyzny, który ją fascynował, o świecie, który nie był rozdarty przez bezsensowną wrogość.

- Fiammetta?

Niski, lekko zachrypnięty głos wyrwał ją z zamyślenia.

- *Nonno?* - Podniosła się i zrobiła kilka kroków w ciemność, ku wysuniętemu w morze końcowi mola.

Poczuła łagodny zapach fajkowego tytoniu. Dziadek siedział na drewnianym leżaku, równie wiekowym jak on sam, i wpatrywał się w ciemne morze.

- *Come stai?* - zagadnęła, starając się, żeby jej głos brzmiał pogodnie. Giuseppe nie musiał wiedzieć o jej zmartwieniach. A nawet... lepiej, żeby nie wiedział. - Już późno, dziadziu, a ty jeszcze nie śpisz. Jak się czujesz?

Giuseppe pyknął z fajki, popatrzył na nią, jak to on, bez uśmiechu.

- Jak się czuję? Nieźle, jak na człowieka, który ma świadomość, że jego wnuczka urabia sobie ręce po łokcie. - Zmarszczył brwi na widok butelki w jej ręku. - Kobieta i piwo? Mężczyźni nie lubią takiego widoku.

- To świetnie się składa, że nie ma w moim życiu mężczyzny, którego opinią musiałabym się przejmować - odparowała i uśmiechnęła się od ucha do ucha. Dziadek był w dobrej formie, skoro miał siłę jej dopinać. Tak wyglądała ich relacja. Tak Baracchi okazywali sobie miłość. Giuseppe był opryskliwy i wciąż ją beształ. Ona też nie szczędziła mu kąśliwych uwag. Ale to nie znaczyło, że się nie kochali.

- Dobrze pamiętam, jak przyszedł do mnie i powiedziałaś: „Dziadku, chciałabym spróbować sił w kuchni. Czy mogłabym zająć się Budką Ratownika, skoro i tak nikt się nią ostatnio specjalnie nie interesuje?” - odezwał się Giuseppe, wciąż wpatrzony w horyzont. - I ani się obejrzałem, a już stary barak lśni nowością, na moją plażę wałęsały tłumy obcych ludzi, zaś moja wnuczka pitrasi wyszukane dania dla bandy frajerów, którzy nie potrafią odróżnić dobrej, sycylijskiej kuchni od fastfódtwa serwowanego na głównym deptaku w Palermo.

- Nie zrzędziłbyś, dziadziu. Ludzie przyjeżdżają specjalnie z Palermo, a nawet z jeszcze dalszych stron, żeby spróbować mojej kuchni. Ostatnio nawet pisano o Budce Ratownika w popularnym włoskim dzienniku. Artykuł nazywał się *Tajemnice Sycylii*. Prowadzę dobrze prosperujący biznes...

- Nie powinnaś zajmować się biznesem - sarknął, wpadając jej w słowo.

Przewróciła oczami, ale zmilczała. Dziadek miał prawo do swoich poglądów, ale ona nie zamierzała wdawać się w dyskusję na ten temat.

- Przyniosę ci drinka - zaproponowała, ignorując jego uwagę. - Grappa?

Doczekała się suchego skinięcia głową i pobiegła do domu. Lucas spał twardo, porządnie przykryty. Uchyliła okno sypialni; dzięki temu usłyszy synka, kiedy tylko zapłaczę. Przeszła do salonu, wyjęła z wiekowego kredensu butelkę i napełniła szklaneczkę przezroczystym płynem na wysokość trzech palców.

- Widzę, że coś jest nie tak, dziadziu - zagadnęła, wręczając mu ulubionego drinka.

- Powiedz, co cię trapi?

- Poza tym, że moja wnuczka całe dni haruje jak niewolnica przy garach i musi oddawać Lucasa pod opiekę obcej dziewczynie?

Fia pociągnęła potężny, krzepiący łyk piwa. Rozmowy z dziadkiem często wystawiały jej cierpliwość na ciężką próbę.

- Lucas uwielbia Ginę. A ona nie jest żadną obcą dziewczyną, tylko moją przyjaciółką. Kocha go i rozpieszcza...

- Kocha! Rozpieszcza! - prychnął Giuseppe z widocznym obrzydzeniem. - Zrobicie z niego babę. Tak to jest, kiedy chłopak wychowuje się bez ojca. Nikt go nie uczy, co to znaczy być mężczyzną.

To był idealny moment, żeby zacząć rozmowę o tym, kto w rzeczywistości jest ojcem Lucasa.

Poinformować dziadka, że ów ojciec jest więcej niż gotów, żeby wziąć czynny udział w wychowaniu syna. Ale Fia czuła, że słowa „Santo Ferrara” nie przejdą jej przez gardło. Jeszcze nie teraz. Potrzebowała czasu, żeby oswoić się z sytuacją. Najpierw musiała rozmówić się z Santem. Kiedy pozna jego plany, zastanowi się, jak powiedzieć o wszystkim Giuseppe.

- Lucas ma przecież pradziadka - uśmiechnęła się. - Prawdziwego mężczyznę.

- Nie opowiadaj głupot - skrzywił się Giuseppe, ale widać było, że jej uwaga sprawiła mu przyjemność. - Dobrze wiesz, że dziecku na co dzień potrzebny jest ojciec, a nie stuletni dziadyga!

Ojciec? Fia zacisnęła usta w grymasie bólu.

- Mnie ojciec na co dzień tylko przeszkadzał - syknęła. Nie dość cicho. Giuseppe westchnął ciężko i spuścił głowę. Zdawało się, że skurczył się i osłabł, jakby przybyło mu co najmniej dziesięć lat.

- Nigdy nie chciałem tego dla ciebie - powiedział z trudem. - Ani dla twojego brata. Piero... to moja życiowa porażka. Nie mogę sobie darować...

- Przestań. - Kucnęła przed nim i zajrzała mu w oczy. - Nie zadreńczaj się, nie znoś tego. Spójrz, jak dobrze mnie wychowałeś. Wszystko, co osiągnęłam, zawdzięczam tobie. Jestem szczęśliwa, spełniona, odniosłam sukces w pracy...

- Praca! - Giuseppe pociągnął łyk grappy, wyraźnie odzyskując kontenans. - Praca zawodowa to coś, czym kobieta się zajmuje, zanim wyjdzie za mąż. A ty co? Czy chcesz się zestarzeć jako panna z dzieckiem?

- Dziadziu...

- Mężczyźni zapraszają cię na randki - Giuseppe nie dał sobie przerwać - ale czy któremukolwiek pozwoliłaś się wyciągnąć z domu? Nie! Czy to blondyn, czy brunet, czy wysoki, czy kurdupel, każdy słyszy „nie”. I tak w kółko. Po ojcu Lucasa nie chciałaś już żadnego chłopca. Myślisz, że nie zauważyłem?

Fia zacisnęła palce na chłodnym szkle butelki. Dziadek stanowczo był zbyt spostrzegawczy.

- Po prostu nie spotkałam jeszcze tego właściwego - mruknęła bez przekonania.

Prawda była inna - Santo był jedynym mężczyzną w jej życiu. Noc, którą spędzili razem, naznaczyła ją na zawsze. Fia wiedziała, wiedziała z przerażającą pewnością, że wszystko, co mogliby jej zaoferować inni, byłoby tylko cieniem, marną namiastką tego, czego doświadczyła w ciągu tamtych mrocznych godzin. A doświadczyła całkowitego, harmonijnego zestrojenia się z drugim człowiekiem. Z Santem Ferrarą. Nie było to porozumienie przebiegające na poziomie słów czy logicznie wyrażalnych myśli, nie była to

nawet erotyczna fascynacja i poszukiwanie wrażeń, ale coś głębszego, pierwotnego jak samo życie, i przez to niemożliwego do podania w wątpliwość. To była moc, która, uwolniona przez bliskość tego człowieka, przeniknęła jej ciało i duszę jednym, wszechogarniającym pragnieniem. Fia zdawała sobie sprawę, że przeżyła coś wyjątkowego. I wciąż zbyt dobrze pamiętała intensywność tego doświadczenia, żeby widzieć cokolwiek interesującego we flircie z innymi mężczyznami.

Przez chwilę milczeli oboje, wnuczka i dziadek, każde zatopione we własnych myślach. W pewnej chwili Giuseppe jęknął cicho, przycisnął odruchowym gestem rękę do mostka.

- Dziadziu? Co się dzieje? - Wiedziona niepokojem, impulsywnie pochyliła się nad nim i pogładziła go po ramieniu

Zesztywniał, jak zawsze, gdy okazywała mu spontaniczną serdeczność, więc natychmiast cofnęła rękę, zła na siebie. Dziadek nie znosił, kiedy go dotykała. Czułość... po prostu nie była jego żywiołem, ot i wszystko.

- Nie roztkliwiaj się nade mną - prychnął jak stary kocur. - Lepiej mi wreszcie powiedz...

Zawiesił głos, a Fia poczuła dreszcz niepokoju. O co dziadek chciał zapytać? Czy o to, kto jest ojcem Lucasa? Dotąd, sama nie wiedziała jakim cudem, udało jej się uniknąć rozmowy na ten temat. Kiedy, przed trzema laty, pewnego wieczora zebrała się na odwagę i powiedziała staremu Giuseppe, że jest w ciąży, ten nie okazał najmniejszego zaskoczenia.

- Oczywiście, że jesteś w ciąży - burknął. - Twoja matka wyglądała dokładnie tak samo, kiedy była przy nadziei. Błada i ciągle głodna. W kółko jadła korniszony, krakersy i koperek, jak ty od paru tygodni. Pomyślałaś o tym, żeby trochę zadbać o siebie? U lekarza byłaś?

Fia uśmiechnęła się do wspomnień. Dziadek był mrukiem i zrzędą, ale zawsze mogła liczyć na jego bezwarunkowe wsparcie. A kiedy Lucas przyszedł na świat, nestor rodu Baracchich dosłownie oszalał na punkcie prawnuka.

Czyżby uznał, że nadszedł czas na pytania, których dotąd z niejasnych dla niej powodów nie zadał?

- Co takiego mam ci powiedzieć? - spytała niechętnie.

- Santo Ferrara - rzucił Giuseppe, krzywiąc usta, jakby wypluwał coś ohydneho. - Przyszedł dzisiaj wieczorem do Budki Ratownika. Widziałem. Widziałem na własne oczy! A ty nawet się o tym nie zająknęłaś.

- *Nonno...*

- Wiem, że nie życzysz sobie rozmów o Ferrarach w tym domu. Kiedy powiedziałaś, że mam nie niepokoić dziecka gadaniem o tych diabła wartych nikczemnikach, zrozumiałem, zastosowałem się do twojej prośby. Ale jeden z nich bezczelnie wkracza na mój teren. Mam prawo to skomentować.

Fia nie przerywała. Wpatrywała się w Giuseppe nieruchomymi, szeroko otwartymi oczami.

- Ostrzegałem tego pajaca, Santa Ferrarę, żeby nie pojawiał się tutaj, dopóki nie będzie gotów postąpić jak mężczyzna i wziąć odpowiedzialności za to, co zrobił! - Giuseppe rąbnął pięścią w oparcie leżaka.

Fia stłumiła westchnienie. Dziadek wierzył święcie, że Santo Ferrara jest winien śmierci jej brata. Rzeczywiście, Roberto Baracchi zginął dlatego, że stracił panowanie nad kierownicą sportowego wozu należącego do Santa. A stracił je, bo, jak zeznali naczni świadkowie, docisnął gaz do dechy, chcąc zapewne sprawdzić możliwości potężnego silnika. A że jeździć nie umiał wcale, na pierwszym zakręcie wypadł z drogi i uderzył w mur. Rychło okazało się, że ani nowiutkiego, sportowego wozu Santa Ferrary, ani jego nieszczęsnego kierowcy uratować się nie da. Po wypadku mówiono, że Santo zachował się co najmniej nieodpowiedzialnie, dając kluczyki chłopakowi, który nie miał prawa jazdy ani żadnego doświadczenia za kierownicą.

Ale Fia wiedziała, że prawda była inna. Znała brata na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że młody na pewno nie prosił Ferrary o kluczyki, tylko po prostu ukradł mu brykę. Nie byłaby to pierwsza kradzież w jego tragicznie krótkim, burzliwym życiu. Jednak prawda nigdy nie wyszła na jaw, bo Santo kradzieży nie zgłosił. Kiedy jej brat umarł, a dziadek, oszalały z rozpaczy, rozpętał istne piekło oskarżeń, Santo milczał. Nie powiedział ani słowa na swoją obronę, nawet wtedy, gdy Giuseppe zagroził mu pociągnięciem do odpowiedzialności karnej. Powtarzał tylko, że mu przykro, i żałuje, że doszło do tej trage-

dii. Sprawy sądowej w końcu nie było, ale dla dziadka Santo pozostał wrogiem numer jeden, najbardziej znienawidzonym człowiekiem na planecie.

- A on sobie w najlepsze przyjeżdża do Budki Ratownika! - grzmiał dziadek. Wkracza na moją ziemię, jakby nigdy nic, jakby myślał, że może nas upokarzać bezkarnie!

- *Nonno...*

- Czy ten pajac miał odwagę przyjść do mnie i porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną? Nie! Wolał narzucać się tobie, bo jest tchórzem, który dobrze wie, że ty masz miękkie serce!

Fia zerwała się na równe nogi.

- *Calma* - ucięła zdecydowanie. - Dziadku, dosyć tego. Uspokój się, proszę.

Nie podniosła głosu, choć niepokój szalał w niej jak pożar. Skoro sam widok Santa Ferrary tak bardzo wytrącił dziadka z równowagi, co by się stało, gdyby dowiedział się prawdy? Waśń rozgorzeje na nowo, tylko tym razem w samym jej centrum znajdzie się Lucas.

- Nie sędzę, żeby Santo Ferrara był tchórzem. Nie przyszedł do ciebie, bo go odprawiłam. Za bardzo się denerwujesz.

- Pewnie, że się denerwuję! Byłoby dziwne, gdybym się nie denerwował tym, jak ten łajdak postąpił. - Głos mu drżał. - Nienawidzę go.

- Wiem. - Fia skrzyżowała ramiona na piersi i zapatrzyła się na daleki horyzont. - Wiem.

Dziadek nie miał pojęcia, jak bardzo bolała ją ta nienawiść. Ów ból dławił ją, kiedy patrzyła na dwie kreski w okienku testu ciążowego. Właściwie nie czuła wtedy nic poza nim - ani zaskoczenia, ani radości, ani nawet lęku. Ten sam ból towarzyszył jej cichym wzruszeniom, gdy dziecko poruszało się w niej, delikatne jak trzepoczący się motyl. I przeszywał ją, mocniejszy niż porodowe skurcze, kiedy, zaciskając palce na dłoni Giny, wypychała syna z siebie na świat. Od tamtego dnia czuła ten ból za każdym razem, kiedy patrzyła w oczy Lucasa - tak niesłychanie podobne do oczu jego ojca, że nie miała pojęcia, jakim cudem dziadek wszystkiego się nie domyślił. Być może podobna okropność po prostu nie mieściła mu się w głowie.

- Jeżeli ten pajac znów się tutaj pojawi, a mnie akurat nie będzie w pobliżu - Giuseppe podniósł się z leżaka, zrobił chwiejny krok w jej stronę. Jego ciemne oczy płonęły gniewem - przekażesz mu ode mnie wiadomość. Powiesz mu, że go ostrzegam. Ma wreszcie zachować się jak mężczyzna i wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. Bo jeżeli tego nie zrobi, a dalej będzie miał czelność cię nachodzić, to zasmakuje śrutu z mojej flinty!

## ROZDZIAŁ TRZECI

Gabinet kierownika hotelu Ferrara Beach Club był nieprawdopodobnie zagracony. Na wielkim biurku znajdowało się tyle przedmiotów, że Santo z trudem znalazł miejsce, żeby postawić filiżankę kawy. Siedział teraz, patrząc roztargnionym wzrokiem, jak świetlista kula słońca wspina się powoli na niebo, nasycając coraz jaśniejszym blaskiem rześkie, poranne powietrze. Oczy szczypały go z niewyspania. Od dobrej minuty mieszał łyżeczką w kubku, choć kawy nie posłodził.

Dziewczynie, która przyniosła mu podwójne espresso, ze zdenerwowania drżały ręce. Wcześniej, kiedy o świcie pojawił się w hotelu, cały personel przywitał go poblady z przejęcia i wyprężony na baczność. Wieść, że prezes Ferrara Resorts zamierza osobiście zająć się reorganizacją placówki, postawiła wszystkich do pionu. Kierownik, wpuszczając go do gabinetu, giął się w ukłonach i gadał jak nakręcany, gęsto gestykułując, ale Santo nie słuchał. Na razie pracownicy hotelu nie mieli się czego obawiać, bo jego zawodowe projekty zeszły na bardzo odległy plan. Życie, jakie do tej pory wiódł, już nie istniało. Od kilkunastu godzin zmagał się ze świadomością, że rzeczywistość, w której funkcjonował przez ostatnie trzy lata, była iluzją.

Ostrożnie oparł łokcie o biurko, uważając, żeby niczego nie przewrócić. Mignęła mu myśl, że kierownik istotnie miał powody do obawy o swoje stanowisko. Jeżeli prowadził hotel z podobną dezynwolturą, z jaką dbał o porządek we własnym gabinecie, prawdopodobnie nie był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Za to z całą pewnością był człowiekiem bardzo rodzinnym. Na blacie biurka stało co najmniej dziesięć oprawionych w ramki fotografii. Największa przedstawiała go w towarzystwie

pulchnej małżonki o łagodnym uśmiechu i dwojga rozbrykanych brzdąców, które, sądząc po imponujących, szczerbatych uśmiechach, osiągnęły już poważny wiek lat co najmniej siedmiu. Pozostałe zdjęcia stanowiły dokumentację, i to całkiem szczegółową, życia dwóch latorośli kierownika hotelu, od wieku wczesnoniemowlęcego do chwili obecnej.

Santo zmagał się przez chwilę z szaloną chęcią, żeby uprzątnąć biurko, zrzucając wszystkie te słodkie fotki na podłogę. Powstrzymał się. Nie mógł mieć za złe właścicielowi gabinetu, że posiadał typową sycylijską rodzinę. Nie powinien wyżywać się na obcym człowieku tylko dlatego, że jemu samemu los poskąpił tego przywileju. Santo nigdy nie uważał się za romantyka ani idealistę. Teraz przekonywał się, że może jednak nim był - wszak żywił dotąd spokojne przekonanie, że pewnego dnia założy rodzinę, która będzie przypominała tę ze zdjęć.

Rzeczywistość okazała się o wiele bardziej skomplikowana.

Wypił łyk wystygłej, diabelnie gorzkiej kawy, skrzywił się i popatrzył na zegarek. Nie miał wątpliwości, że Fia przyjdzie na umówione spotkanie i że nie spóźni się ani minuty. Co prawda, nie odpowiedziała na wiadomość, którą wysłał jej o jakiejś nieprzyzwoicie wczesnej porannej godzinie, kiedy uznał, że ma dość bezsenne przewracanie się po łóżku, ale był pewien, że ją przeczytała. Wątpił, by minionej nocy zaznała więcej snu niż on. Podniósł kubek do ust i wmusił w siebie resztę smolistego płynu. Był zmęczony. Cholernie zmęczony wielogodzinnym zmaganiem się z myślami. Ale decyzję podjął i wiedział, że od niej nie odstąpi. Intencje miał jednoznaczne. A emocje... cóż, tu sprawa była o wiele bardziej skomplikowana. Gdy myślał o tym, co czuje, nie przychodziły mu do głowy żadne określenia z dziedziny psychologii. Widział za to, z bolesną wyrazistością, dwie twarze: buzię dwuletniego chłopca, z okrągłymi policzkami i parą bystrych czarnych oczu, oraz szczupłą twarz jego matki, o subtelnych rysach i wielkich, szarych jak dym oczach.

Drzwi uchylły się cicho, ostrożnie. Na progu stanęła Fia Baracchi. Jej widok przeszył go dreszczem, jakby była zjawą, którą przywołał myślami. Od wielu godzin planował, co jej powie. Przygotował sobie całą tyradę. Ale teraz, kiedy na nią patrzył, nie mógł sobie przypomnieć ani słowa. Milczał więc; ona nie odzywała się również. Starannie zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, najwyraźniej nie zamierzając zbliżyć się do



niego ani trochę bardziej, niż było to konieczne. Z całą pewnością nie była zjawą. Zapatrzył się na jej bajecznie długie, zgrabne nogi otulone szarym materiałem wąskich spodni. Delikatne stopy obute miała w sandaalki na obcasie, a paznokcie - pociągnięte jasnoróżowym lakierem. Przeniósł wzrok wyżej, ale tu czekała kolejna pułapka. Jej prosta, koszulowa bluzka tylko z pozoru była skromna; materiał, zwiewny jak poranna mgła, układał się miękko, ani trochę nie maskując zmysłowych krągłości jej piersi, bujniejszych niż przed trzema laty. Bluzka ta miała kolor pudrowego różu, taki sam, jak delikatne usta jej właścicielki. Fia nie spięła włosów; otaczały jej jasną twarz niczym morze ognia, spływały na ramiona poskręcanyimi pasmami, kontrastując niepokojąco z chłodną barwą stroju.

Spojrzała na niego czujnymi, szarymi oczami, pod którymi zmęczenie namalowało sine cienie. Była, tak samo jak on, wyczerpana. I gotowa do walki.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zaczęła, przerywając ciszę. - Przeprosin? Chciałbyś usłyszeć, że zrozumiałam swój błąd? Że żałuję i proszę o wybaczenie?

Nie odpowiedział. Patrzył na jej usta. Wiedział, jak smakują, pamiętał dokładnie ich słodycz. Ale każde słowo, które z nich padało, było zaskoczeniem. Bo mimo że tamtej nocy przed trzema laty nauczył się na pamięć jej ciała, w świetle dnia musiał przyznać, że wciąż jest ona dla niego kimś obcym. Nie znali się. Choć przecież, kiedy sięgał pamięcią wstecz, do dzieciństwa i wczesnej młodości, wciąż napotykał na wspomnienia o niej. Dziwne, oniryczne wspomnienia o szarookiej, ognistowłosej istocie, zawsze milczącej, nieuchwytniej i płochliwej niczym mała elfka, która kryła się przed ludźmi, ale dla niego robiła wyjątek. Spotkali się po raz pierwszy, gdy miała osiem lat. On miał wtedy czternaście i lubił chodzić własnymi drogami. Pewnego dnia eksplorował starą, od dawna nieużywaną szopę na łodzie, która stała na skraju terenu należącego do jego rodziny. Dalej, niczym wrocie imperium, rozciągała się ziemia Baracchich. Choć drzwi szopy zamknięte były na zardzewiałą kłódkę, człowiek odpowiednio zmotywowany mógł dostać się do wnętrza przez otwór okienny, pozbawiony nie tylko szyby, ale nawet ościeżnicy. Kiedy, z kolanami poobcieranymi do krwi o szorstkie drewno, znalazł się wreszcie w środku, zorientował się ze zdumieniem, że ma towarzystwo. Na podłodze ze zwietrzałych desek siedziała drobna postać. Dziewczynka patrzyła w morze, które tego dnia było

równie szare co jej oczy. Wiatr, niosący bryzgi piany, szarpał kosmykami jej włosów. Na jego widok nie poruszyła się, tylko spojrzała nieufnie spod rudej grzywy. W jej oczach błysnęło wyzwanie, jakby doskonale wiedziała, że znajduje się na cudzym terenie, gdzie Baracchim wstęp był surowo wzbroniony, ale nie miała najmniejszego zamiaru uciekać. Nie miał pojęcia, co zrobić z tym fantem - z jej upartą, milczącą obecnością. Miał narzucić na nią rodzicom? A może wziąć ją jako zakładnika i zażądać okupu? Oczywiście skończyło się na tym, że nie zrobił nic. Pozwolił jej siedzieć w ukryciu tak długo, jak tylko chciała. Nie zamienili ze sobą ani słowa, ale kiedy przemykała się z powrotem do siebie, uniosła dłoń i ukradkiem pomachała mu na pożegnanie.

Żadne z nich nie mogło wtedy wiedzieć, że było im przeznaczone spotkać się po latach w tej samej, nadmorskiej szopce. I że to spotkanie, choć także upłynie w milczeniu, zwiąże ze sobą ich losy mocniej niż wszelkie słowa, zaklęcia czy przysięgi. Bo dziewięć miesięcy później przyjdzie na świat ich wspólne dziecko.

- Kiedy się zorientowałaś, że jesteś w ciąży? - spytał, wciąż zapatrzone we wspomnienia.

Rzuciła na niego okiem nieufnie, zupełnie jak wtedy, gdy miała osiem lat.

- Dlaczego pytasz?

- Bo nie wiem, a chciałbym się dowiedzieć. - W jego łagodnym tonie pobrzmiwała żelazna stanowczość. - Jest bardzo wiele rzeczy, których chciałbym się od ciebie dowiedzieć.

Zamknęła oczy i oparła się o drzwi, odchylając głowę do tyłu, a on zapatrzył się na jej delikatną szyję. Pamiętał aż za dobrze, że gdy ją całował, wyczuwał wargami pulsowanie krwi pod ciepłą, aksamitną skórą. Rytm życia, rytm emocji. Coraz szybszy, coraz bardziej szalony...

- Na początku nie domyślałam się niczego. - Zmarszczyła brwi, wysilając pamięć. - Dwa miesiące, może nawet dłużej. Czułam się fatalnie, ale byłam przekonana, że winien jest stres. I żałoba. To nie był łatwy czas. Mój brat nie żył, a dziadek... - Wykrzywiła usta i pokręciła głową. - Nie wiem, jak ja w ogóle to przeżyłam. A gdy wreszcie przyszło mi do głowy, że przyczyna mojego dziwnego samopoczucia może być inna i zrobiłam test

ciążowy, który okazał się pozytywny... kiedy dotarło do mnie, że będę mieć dziecko, zrozumiałam, że...

- Że w twoim życiu wydarzył się kolejny dramat? Że los rzucił ci pod nogi kolejną kłodę?

- Co?! - Aż podskoczyła. - Nic podobnego!

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że włosy zatańczyły wokół jej twarzy.

- To było tak, jakby wydarzył się cud - wyszeptała drżąc. - Jakby z najczarniejszej chwili mojego życia narodziło się światło.

Szczerłość tego wyznania poruszyła go.

- Światła nie chowa się pod korcem - powiedział z goryczą. - Powinnaś była mi powiedzieć. Od razu, gdy tylko się dowiedziałas.

- Powiedzieć ci? I co dalej?! - Rozłożyła ręce w geście desperacji. - Patrzeć, jak Baracchi i Ferrarowie skaczą sobie do gardła? Pozwolić, żebyście się nawzajem rozszarpali na kawałki, a przy okazji stratowali dziecko? Pamiętasz chyba, jakie były nastroje po śmierci mojego brata. Naprawdę chciałbyś, żeby Lucas trafił w sam środek tego piekła? Musiałam milczeć. Musiałam. Zrobiłam to, co najlepsze dla dziecka. Stworzyłam mu bezpieczny, stabilny emocjonalnie dom.

- Bezpieczny? Stabilny emocjonalnie? - Musiała chyba żartować. - Mówisz o domu Baracchich?

Wyobraził sobie małego chłopca narażonego na wybuchy temperamentu starego Giuseppe i poczuł, że w ogóle nie jest mu do śmiechu.

- Uderzył go już kiedyś?

- Pytasz, czy mój dziadek uderzył Lucasa? - domyśliła się. W jej oczach błysnęło oburzenie. - Wypraszam sobie! Giuseppe go uwielbia. A ja nigdy, przenigdy nie pozwoliłabym, żeby mojemu dziecku stała się krzywda. Z czyjejkolwiek ręki.

- Nie pozwoliłabyś? - Pytanie zabrzmiało o wiele bardziej zaczepnie, niżby sobie tego życzył. - Ciekawe, czy potrafiłabyś go obronić, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Bo sama nigdy nie broniłaś się przed przemocą. Znosiłaś ją w milczeniu, całkowicie biernie. Po prostu czekałaś, aż dadzą ci spokój.

Santo widział kiedyś taką scenę na własne oczy. I pamiętał ją tak dokładnie, jakby została wyryta tępym nożem w żywej tkance jego duszy.

To było niedługo - może rok? - po ich pierwszym spotkaniu w szopie. Poszedł popływać, choć na morzu szalał sztorm. Zawsze lubił adrenalinę, którą wyzwalało w nim zmaganie się z żywiołem. Tego dnia jednak potężne, gnane wichrem bałwany zniosły go na plażę należącą do Baracchich. Nie miał ochoty na bliższą znajomość z potężnymi kulkami Piera Baracchiego, schował się więc za jednym z głazów rozsianych po kamienistej plaży w oczekiwaniu na moment, w którym będzie można bezpiecznie się wycofać z niebezpiecznego terenu. Chwilowo nie należało się wychylać. Bo zaledwie kilka metrów od niego, na górującym nad plażą kamiennym tarasie domu Baracchich, miotał się, wrzeszcząc, Piero we własnej osobie. Ze swojego schronienia Santo widział wyraźnie, jak szczuplutka, przerażona Fia próbuje przemknąć za plecami ojca. Próbuje uciec. Niestety, bezskutecznie. Zobaczył ze zgrozą, jak Piero łapie córkę za kark i popycha na jedno z drewnianych krzeseł stojących na tarasie. Dziewczynka opadła na nie bezwładnie, jak lalka, i zamarła w bezruchu. Kiedy Piero doskoczył do niej, wymachując ogromnymi, zardzewiałymi nożycami do strzyżenia owiec, Santo z trudem stłumił krzyk przerażenia. W następnej chwili Baracchi, nie przestając wrzeszczeć, zaczął ciachać tępymi ostrzami gęstą, zmierzwioną czuprynę córki. Wichur porывał poskręcane, ogniste kosmyki i niósł je nad morze. Wraz z nimi do kryjówki Santa dolatywały też strzępy ojcowskiej tyrady, z których wynikało, że strzyżenie jest karą, która ma sprawić, że „smarkuła popamięta”. Istotnie, nagrodą raczej nie było. Santo zaciskał zęby w bezsilnej złości, widząc, jak Piero bezlitośnie szarpie małą za włosy. Ona natomiast całą operację przetrzymała bez słowa protestu. Zaciśnęła wargi i patrzyła przed siebie oczami, które zdawały się bez wyrazu, tak pełne były rezygnacji. Oczami, w których nie pojawiła się ani jedna łza.

- Byłam wtedy dzieckiem! - Fia i teraz nie zamierzała płakać. Splotła ramiona na piersi i uniosła podbródek. - Owszem, w mojej rodzinie była przemoc. Kiedy byłam małą, swoje przeszłam. Ale to mój ojciec był furiatem, a nie dziadek! Giuseppe może nie jest najserdeczniejszy w obejściu, ale nie podniósłby ręki na dziecko. Zapewniam cię, że Lucas nigdy, nawet przez moment nie był narażony na przemoc. Ma beztrioskie, szczęśliwe dzieciństwo...

- Bez ojca - wtrącił ponuro.

- Owszem. - Nie spuściła wzroku.

Santo zacisnął szczęki tak mocno, że aż zaboląły. Odezwał się dopiero wtedy, gdy był pewien, że zdoła zachować spokój.

- Wierzę, że mówisz prawdę, i to dla mnie ogromna ulga, że Lucas jest bezpieczny. Ale w kwestii zasadniczej niczego to nie zmienia. - Posłał jej spojrzenie pełne determinacji. - Widzisz, rodzina jest dla mnie najważniejsza. Nazwij to światopoglądem, hierarchią wartości albo męskim szowinizmem, jak chcesz. Możesz też podciągnąć to pod rodową dumę. Noszę nazwisko Ferrara, a Ferrarowie opiekują się swoimi dziećmi. Nie ma takiej siły, która byłaby w stanie sprawić, że odwróciłbym się od własnego syna.

Fia nie okazała najmniejszego wzruszenia jego deklaracją.

- Dotąd radziłyśmy sobie całkiem dobrze bez twojej męskiej opieki - powiedziała chłodno.

- A ja dotąd nie wiedziałem, że na tym świecie żyje moje dziecko! - wybuchnął. - Nie miałaś prawa... - urwał i potrząsnął głową. - Nigdy nie widziałem się w roli anonimowego dawcy nasienia. A ty tak właśnie mnie potraktowałaś.

- Obwiniasz mnie - spokojnie wytrzymała jego oskarżycielski wzrok - ale czy nie powinieneś mieć pretensji przede wszystkim do siebie? Wiesz chyba, skąd się biorą dzieci? Tamtej nocy obydwójce zachowaliśmy się jak nieodpowiedzialni szaleńcy, więc wypominanie ci tego byłoby z mojej strony czystą hipokryzją. Ale później, kiedy emocje opadły, nie zadałeś sobie trudu, żeby mnie zapytać, czy nie pojawiły się... nieprzewidziane konsekwencje. - Wzięła się pod boki, zrobiła krok do przodu i natarła na niego z furią. - Czy straciłeś choć sekundę swojego drogiego czasu, żeby się zastanowić, jak ja się czuję po wszystkim, co stało się tamtej nocy? Jak radzę sobie z żałobą po śmierci brata? Czy próbowałeś się ze mną zobaczyć? Nie! Przypomniałeś sobie o moim istnieniu, dopiero kiedy okazało się, że moja Budka Ratownika przeszkadza ci w powiększeniu imperium Ferrarów!

Santo poczuł się tak, jakby poczęstowała go porządnym lewym sierpowym.

Oceniała go niesprawiedliwie. Myliła się. To nieprawda, że o niej nie myślał! Chciał protestować, ale nie zdążył. Wyrzuty sumienia zaczęły kiełkować w jego umyśle,

żywotne i pałace jak młode pokrzywy. Powinien był odezwać się do niej. Odwiedzić ją albo chociaż zadzwonić. Z jej perspektywy wyglądało to tak, że zdybał ją w tamtej starej szopie, przespał się z nią, a potem o niej zapomniał. Miała prawo uważać, że zachował się wyjątkowo paskudnie.

- Nie chciałem zaognić sytuacji - powiedział szybko. - Myślałem, że ty też tego nie chcesz... Że dosyć masz problemów.

- Zatem przyznajesz - wycelowała w niego wskazujący palec - że gdybyś nawiązał ze mną kontakt, gdybyś, nie daj Boże, pojawił się w mojej restauracji i został zauważony, pomnożyłoby to tylko problemy. Zaogniłoby sytuację. Zgodzisz się więc chyba, że ja mogłam mieć podobne obawy? Jak bardzo, twoim zdaniem, sytuacja zaogniłaby się, gdybym ci powiedziała wtedy, że spodziewam się twojego dziecka?

- Pojawienie się dziecka wszystko zmienia - powiedział z przekonaniem.

- Pojawienie się dziecka niczego nie zmienia. - Pokręciła głową. Nie usiłowała być przekonująca; nie musiała. Santo zdawał sobie sprawę, że jej słowa poparte są doświadczeniem. - Pojawienie się dziecka sprawia tylko, że wszystko staje się trudniejsze. Każdą decyzję musisz podejmować ze świadomością, że konsekwencje poniesie mała, bezbronna, zależna od ciebie istota. Kiedy masz dziecko, nie możesz pozwolić sobie na błąd.

Nie wiedział, co jej na to odpowiedzieć. Długo szukał słów.

Nie znalazł żadnych.

- Proponuję, żebyśmy nie tracili czasu na roztrząsanie tego, co było - wybawiła go z kłopotu, energicznie przechodząc przez gabinet i siadając w fotelu naprzeciwko niego.

Założyła nogę na nogę i wsunęła ręce w kieszenie dżinsów, a on zapatrzył się na jej wąziutką talię i biodra, które nie straciły dziewczęcej smukłości. Jak się czuła, kiedy przez dziewięć miesięcy nosiła dziecko, które spłodził? Jak ciężki musiał być poród dla kogoś o tak filigranowej budowie?

- Rozumiem, że chcesz mieć kontakt z Lucasem i akceptuję to - podjęła energicznym tonem, jakiego musiała używać w rozmowach z dostawcami świeżych warzyw dla Budki Ratownika. - Jestem pewna, że uda nam się dojść do porozumienia w kwestii częstotliwości twoich odwiedzin i warunków, w jakich będą przebiegały.

Santo oderwał wzrok od jej bioder i zmarszczył brwi. Musiał się chyba przesłyszeć. Bo jeśli nie, to znaczyło, że Fia zupełnie nie rozumie jego zamiarów.

- Myślisz, że zależy mi na tym, żebym mógł raz na jakiś czas widywać moje dziecko? - spytał, cedząc słowa.

Popatrzyła na niego oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

- Nie zależy ci, żeby widywać Lucasa? To o czym chcesz ze mną rozmawiać?

- Ależ oczywiście, że chcę widywać syna - powiedział powoli, dobitnie, tonem, który nie pozostawiał miejsca na jakiegokolwiek nieporozumienia. - Chcę co wieczór czytać mu bajkę na dobranoc, układać go do snu, a potem sprawdzać, czy przez sen nie rozkopał kołderki. Chcę wstawać do niego w nocy, jeżeli obudzi się przestraszony i będzie płakał. Chcę zaczynać każdy poranek od wzięcia go na ręce, od wspólnego śniadania. Chcę codziennie zabierać go na spacer, bawić się z nim na plaży. Chcę mu pokazać, czym jest prawdziwa rodzina. I tak właśnie będzie. Zawiadomiłem moich prawników, jeszcze dzisiaj zrobią, co trzeba, żeby Lucas został oficjalnie uznany jako moje dziecko.

Fia zerwała się na równe nogi.

- Nie zabierzesz mi Lucasa! - Głos się jej rwał, oczy miała ogromne, pełne zgrozy.

- Nie pozwolę ci! Możesz mieć całą armię prawników, możesz mieć miliony, ale nie uda ci się nas rozdzielić. Jestem jego matką, a on ma dopiero dwa lata! Potrzebuje mnie!

- Cóż, ty nie miałaś skrupułów, kiedy odebrałaś mu ojca. Miało mnie nie być w jego życiu. Teraz sama widzisz, że niełatwo przełknąć coś takiego.

Fia zmusiła się do tego, żeby oddychać. Wdech, wydech - komenderowała w myślach. Nie okazuj strachu. Nie wolno ci okazywać strachu. Trudno jej było uwierzyć, że Santo z zemsty chce odebrać jej syna. Nie sądziła, by był człowiekiem takiego pokroju. Ale jeżeli myliła się co do niego, jeżeli w rzeczywistości był okrutnikiem lubiącym zadawać ból, okazanie strachu wobec jego pogróżek było jak zaproszenie do zabawy. Wiedziała o tym z doświadczenia.

- Posłuchaj, wiem, co czujesz... - zaczęła z nienaturalnym spokojem.

- Nie, nie wiesz - przerwał jej. W lodowatym tonie jego głosu głucho pobrzmiwał ból. - Nie masz pojęcia, jakie uczucia wywołuje we mnie świadomość, że straciłem ponad dwa lata z życia mojego dziecka.

- Możesz mieć do mnie pretensje, że dokonałam takiego wyboru - oświadczyła sztywno. - Ale nie waż się obarczać konsekwencjami Lucasa. Jeżeli wystąpisz do sądu o przyznanie ci wyłącznej opieki nad dzieckiem, bardzo możliwe, że sprawę wygrasz. Dasz mi nauzkę. Odpłacisz się pięknym za nadobne. Ale zastanów się, czy twoja satysfakcja będzie warta cierpienia synka, bo to on najciężej przeżyje rozłąkę ze mną.

Santo słuchał jej bez słowa, a jego mina wyrażała coraz głębsze zdumienie.

- O czym ty mówisz? Naprawdę uważasz, że w moim mniemaniu rola ojca sprowadza się do odebrania dziecku matki? Chyba mnie z kimś mylisz.

Nie miała problemu ze zrozumieniem aluzji; jej przeszłość była jak wciąż niezagojona rana. Schyliła głowę i przygryzła wargę, tłumiąc ból i szaloną chęć, żeby zerwać się i wyjść bez słowa.

- Na szczęście jest inne wyjście z tego impasu - ciągnął Santo. - Wyjście genialne w swej prostocie i w dodatku mające wielowiekową tradycję. Sposób naszych babć, że tak powiem. I dziadków.

Fia nie miała najmniejszej ochoty na zabawę w zgadywanki.

- Nie ma innego wyjścia! - Poderwała głowę. - Myślisz, że się nad tym nie zastanawiałam? Nie chcę, żeby Lucas spędził najbliższe lata przerzucany; między nami jak tobolek, zgodnie z grafiką zatwierdzonym przez sąd. Nie chcę też, żeby nasiąknął całą tą paskudną atmosferą waśni między naszymi rodzinami.

- Lucas - Santo podniósł się zza biurka, obszedł je dookoła i stanął tuż przed Fią, opierając się o blat - nie będzie nigdzie przerzucany jak tobolek. A cała ta idiotyczna waśń, której, nawiasem mówiąc, Ferrarowie od dawna mają powyżej uszu, skończy się raz na zawsze. Bo rodziny Ferrarów i Baracchich połączą się. Spowinowacą.

Fia, która właśnie odgarniała z czoła kosmyki włosów, zamarła w pół gestu, z uniesionymi dłońmi i palcami przy skroniach. Pojęła od razu, z całkowitą pewnością, do czego zmierza Santo. I ta pewność poraziła ją jak uderzenie błyskawicy.

- Mam zamiar się z tobą ożenić.

To krótkie zdanie, wypowiedziane bez emfazy i bez wzruszenia, spokojnym, oznajmującym tonem, zawisło między nimi w ciężkiej ciszy.



Czy on to naprawdę powiedział? - zastanawiała się gorączkowo Fia. Czy ja to naprawdę usłyszałam? A może pomieszało mi się w głowie i jak na wariatkę przystało, słyszę głosy, które naigrawają się ze mnie?

- Powiedziałeś, że chcesz się ze mną ożenić? - Przekrzywiła głowę, jak osoba, która robi wysiłek, żeby dosłyszeć, co się do niej mówi.

Nie była w stanie zebrać myśli. Santo równie dobrze mógł zakomunikować, że zamierza polecieć na księżyc; zrobiłoby to na niej podobne wrażenie. Rzecz była zbyt absurdalna, żeby jej dotyczyć. Nie w prawdziwym życiu.

- Owszem. Jeśli chcesz, możesz uznać to za oświadczyzny - padła zwięzła odpowiedź. - Ustalimy, co jest do ustalenia, i pobierzemy się. Jak najprędzej.

Powoli opuściła rękę. W głowie wciąż miała pustkę, jakby nagły szok sparaliżował jej myśli. Santo stał przed nią - wysoki, nieporuszony. Twarz miał poważną, a w oczach spokojną determinację.

Tyle razy widywała go w snach... ale nie była tak naiwna, by sądzić, że te sny mają szansę się ziścić.

- Nie mogę przyjąć twoich oświadczyzn - wyrzuciła z siebie, wciąż balansując na granicy poczucia, że ulega halucynacjom.

Patrzył na nią w milczeniu. Jedyłą reakcją na jej słowa było pytające uniesienie brwi.

- Mam ci tłumaczyć dlaczego? - wybuchnęła. - Bo... ledwo się znamy. A poza tym rodziny nigdy w życiu nie zgodzą się na nasz ślub!

- Chciałaś chyba powiedzieć, że twoja rodzina się nie zgodzi - poprawił ją. - Twoja rodzina, czyli Giuseppe. Natomiast moi na pewno nie będą robić problemów. Wręcz przeciwnie. Będą nas wspierać, bo rodzina po to właśnie jest.

- Santo... - Pokręciła głową.

- Mało się znamy - ciągnął, niezrażony jej brakiem entuzjazmu - ale to akurat można szybko nadrobić. Poznamy się. Nauczymy się ze sobą żyć. Jesteśmy dwojgiem dorosłych ludzi, wystarczy, że będziemy kierować się rozsądkiem i dobrą wolą.

Pokręciła głową. Z uporem, jak mała dziewczynka. Miała ochotę zatkać sobie uszy.

- Nie dąsaj się - rzucił zimno. - Tu nie chodzi o moje czy twoje widzimi się. Mamy razem dziecko.

Lucas ma prawo wychowywać się w pełnej, solidnej rodzinie. A my możemy mu to zapewnić.

- Wydaje ci się, że znalazłeś idealne rozwiązanie - powiedziała ostrożnie, jak do szaleńca - ale nie ma sensu podejmować pochopnych decyzji. Nie w tak ważnej sprawie.

- Nazywasz to pochopną decyzją? - Pochylił się i oparł dłonie na poręczach jej fotela, z całej siły zaciskając palce na chłodnym drewnie, żeby choć w ten sposób dać ujście frustracji. - Nasze dziecko ma ponad dwa lata, a wciąż jeszcze nie zna własnego ojca. Nie wie, że ma babcię, ciocię, wujka i trzy całkiem fajne kuzynki, z którymi można się bawić. Wierzę, że robiłaś dotąd wszystko, co mogłaś, żeby zapewnić mu szczęśliwe dzieciństwo. Ale przyznasz chyba, że razem możemy zrobić dla niego więcej.

Uniosła głowę i napotkała spojrzenie jego ciemnych oczu. Był tak blisko, że mogłaby go dotknąć, ale wydawał jej się niesłychanie odległy. Wręcz niedosiężny.

Santo Ferrara.

Tamtej nocy, kiedy kochali się w starej szopie na łódzie, byli po prostu dwojgiem ludzi, kobietą i mężczyzną, których popchnęła ku sobie potęga samej natury. Ale teraz, w świetle dnia, nie działał już zacierający różnice, stapiający ich w jedno czar. Teraz ona była córką miejscowego awanturnika, która miała za sobą trudne dzieciństwo i pracowała na utrzymanie, stojąc przy garach, a on - cóż, on był Ferrarą.

Biznesmenem i milionerem, członkiem najzamożniejszej i najbardziej wpływowej rodziny na wyspie. Rodziny, która w dodatku była idealna.

- Muszę... się zastanowić - wydukała, zła na siebie.

Wiedziała, że brzmi jak idiotka.

- W porządku. - Santo wyprostował się i ruszył ku drzwiom, dając jej do zrozumienia, że audycja dobiegła końca. - Masz czas do dzisiejszego wieczora, żeby oswoić się z myślą o ślubie. I, jeśli mogę coś doradzić, powiedz prawdę dziadkowi. Najlepiej zaraz. Bo w przeciwnym razie ja to zrobię za ciebie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Plaża tonęła w słońcu. Morze, kobaltowe pod błękitnym niebem, kołysało się łagodnie, fale szeptały uwodzicielsko, przemykając się ukradkiem między przybrzeżnymi głazami. Fia zdjęła sandaalki, podwinęła spodnie i, brodząc po kostki w wodzie, wlokła się powoli w stronę Budki Ratownika. Specjalnie wybrała drogę plażą, w nadziei, że tu najprędzej odzyska siły po wizycie w hotelu Ferrarów i rozmowie z Santem. Kochała przestrzeń otwartą aż po szeroki łuk horyzontu, rzeński wiatr niosący zapach morza, pieszczotliwy dotyk ciepłych fal, które omywały jej stopy.

Była wyczerpana. Tak bardzo, że całe ciało miała odrętwiałe, poruszała się mechanicznie i ciężko, jak istota pozbawiona czucia. Spuściła głowę; każda myśl była jak wielotonowy głaz. Wiedziała, że powinna zmierzyć się z nimi, poukładać je, poszukać odpowiedzi na pytania. Nie miała siły. Nie wyobrażała sobie, by mogła dźwignąć którekolwiek z nich.

Wybrzeże zatoki miało niecały kilometr długości, a Fia знаła każdy kamień na przestrzeni tego kilometra - pomiędzy jej rodzinnym domem strzegącym północnego cypła, a starą szopą na łodzie Ferrarów, która wtapiała się w wysoki klif na krańcu południowym. Tyle razy tędy biegała. Tyle razy chroniła się tu przed atakami lęku i rozpacz, tak potężnymi, że grożącymi unicestwieniem. Tutaj znajdowała siłę, żeby nie dać się zmiażdżyć. Nadzieję, która pozwalała chwycić się życia. Odwagę, żeby pozostać sobą.

Usiadła ciężko na płaskim głazie, który zdążył już się nagrzać w porannym słońcu. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Pozwoliła udręczonej świadomości rozplynać się w muzyce fal. Pozwoliła, żeby ogarnęła ją kojąca potęga morza. Siedziała długo, nieruchomo, aż wreszcie poczuła, że tętni w niej energia, wzbierająca powoli, ale uparcie, jak woda w porze przyływu. Dopiero wtedy podniosła się i ruszyła ku Budce Ratownika. Musi być silna. Może bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Dziś jeszcze musi rozmówić się z dziadkiem. Co będzie, gdy mu powie, że ojcem Lucasa jest Santo Ferrara? Czy nadal będą mogli mieszkać pod jednym dachem? Czy stary Giuseppe będzie w stanie wznieść się ponad uprzedzenia? Czy jeszcze kiedykolwiek spojrzy na swojego prawnuka z miłością i dumą, jak do tej pory?

Fia spojrzała z niepokojem na rysującą się w oddali przysadzistą sylwetkę kamiennego domu Baracchich. Rozmowa z dziadkiem będzie trudna, ale przynajmniej rozumiała, na czym polega to wyzwanie. Natomiast zupełnie, ale to zupełnie nie wiedziała, co sądzić o propozycji, jaką złożył jej Santo.

Zamierzał się z nią ożenić.

Wypowiedziała te słowa w myślach, powoli, ostrożnie, jakby wchodziła do nieznannej, lodowatej wody.

Mieli wziąć ślub, stworzyć rodzinę - ona, on i ich wspólne dziecko. Santo wyjaśnił jej rzeczowo, że to jest najprostsze wyjście ze skomplikowanej sytuacji. I rzeczywiście, pod pewnymi względami tak było. Akt ślubu skutecznie rozwiązywał wszelkie problemy prawne związane z pokrewieństwem, dziedziczeniem i opieką nad dzieckiem. Wspólne życie rodzinne było jedynym układem, który pozwalał jej i Santowi na ciągły kontakt z Lucasem, a tego ostatniego nie narażał na tułaczkę pomiędzy dwoma domami. Tak, z punktu widzenia użyteczności pomysł małżeństwa był bez zarzutu.

- Fiammetta Ferrara - wyszeptała cicho, samymi wargami. Na próbę. Czy istniała na tym świecie niezamężna kobieta, która nie pragnęłaby stanąć na ślubnym kobiercu z diabelnie przystojnym, bajecznie bogatym Santem Ferrarą? Wątpliwe.

Ale czy którakolwiek z tych kobiet, wyjąwszy kompletne idiotki, zgodziłaby się na ślub z nim, gdyby przedstawił go jej jako zło konieczne, układ, na który godził się pomimo jego oczywistej nieatrakcyjności? Czy którakolwiek zgodziłaby się być przykrym dodatkiem w transakcji wiązanej, mającej zapewnić mu kontakt z dzieckiem? Jeszcze bardziej wątpliwe.

Zwolniła kroku, podniosła dużą muszlę o zawiłym kształcie i przyjrzała jej się z roztargnieniem. Jeżeli przyjmie warunki, które proponował Santo, Lucas będzie wychowywał się jako Ferrara. Na podróż przez życie dostanie miejsce w klasie biznes. Co więcej, będzie otoczony kochającą rodziną. Nigdy nie zazna rozpaczy i samotności.

Ale szczęście jej dziecka miało swoją cenę. Fia nie wiedziała, czy jest w stanie ją pokryć.

Bo płacić miała ona. Przez całe życie. Jako żona Santa stanie się częścią jego rodziny, ale nie wyobrażała sobie, żeby Ferrarowie mogli obdarzyć ją jakimikolwiek cie-

płymi uczuciami. Spotka się w najlepszym wypadku ze sztywną, pełną cichego potępienia uprzejmością i ledwo skrywaną pogardą. Była wszak... dziewczyną z marginesu. Póldziką, niewychowaną istotą, której brakowało elementarnej ogłady. Była przybłądą, która wciąż mówiła z irlandzkim akcentem, choć wszyscy na wyspie wiedzieli, że została porzucona przez matkę, gdy miała osiem lat. Będą patrzeć na nią spode łba, kryjąc nieufność pod pozorami łaskawej akceptacji. Okazała się wszak na tyle sprytna, żeby złapać na dziecko jednego z najbardziej pożądanых kawalerów we Włoszech. Kto wie, co jeszcze wykombinuje? Może będzie próbowała ich okraść? Albo szantażować, jak jej pradziadek?

Nawet we własnym małżeństwie nie znajdzie ucieczki od atmosfery potępienia. Wręcz przeciwnie - tutaj będzie ona najdotkliwsza. Fia nie miała nadziei, by Santo kiedykolwiek wybaczył jej to, że nie powiedziała mu o dziecku. Chciał się z nią ożenić, żeby, póki Lucas nie dorośnie, mieć pod kontrolą jego nieobliczalną matkę. Krótko mówiąc - chciał się z nią ożenić, bo jej nie ufał. A może nawet ją nienawidził.

Wspaniała motywacja. Na pewno będą żyć razem długo i szczęśliwie.

Fia pokręciła głową i cisnęła muszlę daleko w fale.

Choć do otwarcia restauracji pozostawały jeszcze ponad dwie godziny, w kuchni Budki Ratownika panował ruch jak w ulu. Tylnymi drzwiami wnoszono skrzynki pełne świeżych produktów, które z łomotem lądowały na blatach. Pomocnicy kuchenni uwijali się jak w ukropie, ich podniesione głosy i szcęk kuchennych narzędzi tworzyły dźwiękową kompozycję pełną energii i optymizmu. Pachniało fenkułem, wędzonym serem i dojrzałymi grejpfrutami.

Życie jest jedyną rzeczą, która może rozpaść się na kawałki, i mimo to spokojnie toczyć się dalej, pomyślała sentencjonalnie Fia, stając w progu. Jak co dzień na tarasie ocienionym pnącą się po pergolach winoroślą nakrywano drewniane stoliki kolorowymi obrusami, ustawiając wiklinowe fotele tak, żeby goście mieli widok na morze. Jak co dzień Francesco wypisywał kredą na czarnej tablicy nowe menu. Jak co dzień kuchnia szumiała od powtarzalnych czynności, które, choć niezmiennie, nigdy nie traciły smaku. Alejką prowadzącą wzdłuż plaży na rowerku biegowym pędził Lucas, rozwijając pręd-

kość, która z pewnością nie była dozwolona przez kodeks drogowy, a Gina, zarumieniona z wysiłku, robiła wszystko, żeby za nim nadążyć.

Fia uśmiechnęła się bezwiednie. Tak wyglądał jej prywatny kawałeczek raj. Nie była gotowa na to, żeby go utracić.

- Witaj, szefowo! - Francesco pomachał jej ręką, w której trzymał kredę. - Dobrze, że już jesteś. Jak tam spotkanie? Udane?

Skinęła tylko głową. Obawiała się, że nie zdoła wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

- To super. - Na szczęście Francesco nie zamierzał dociekać szczegółów. - Podczas kiedy ty załatwiałaś swoje ważne sprawy, my z Giną i Lucasem wybraliśmy się do portu. Udało nam się dopaść łodzi, która właśnie wracała z połowu krewetek. Kupiliśmy na pniu wszystko, co mieli. Są piękne, więc pomyślałem, że będą gwiazdą dzisiejszego menu. Proponuję spaghetti marinara i grillowane krewetki w limonkowej marynacie, z czarnymi oliwkami i smażonym ryżem. Co ty na to?

- Świetny pomysł - powiedziała z roztargnieniem. Dobrze, że Francesco i Gina potrafili przejąć inicjatywę, kiedy było trzeba. Całe szczęście, że mogła na nich liczyć w taki dzień jak ten. - Dodałabym jeszcze sałatkę z krewetek, awokado i grejpfrutów. Wygląda na to, że dzisiaj będzie wyjątkowy upał; możliwe, że goście zechcą zjeść lunch na zimno.

Weszła do kuchni. Odruchowo pogładziła palcami ułożone w skrzynkach, ciężkie od soku grejpfruty i miękkie zielone owoce awokado.

- Właśnie je przywieźli. - Francesco przyniósł kolejną skrzynkę, z braku miejsca postawił ją na podłodze. - Są bez zarzutu. Ten nowy dostawca jest o niebo lepszy od poprzedniego. Czuję, że to jest początek pięknej przyjaźni!

- Oby. Sezon potrwa jeszcze długo, a my mamy obłożenie jak nigdy. Nie stać nas na chybione inwestycje uczuciowe - zaśmiała się. Kuchenne zamieszanie zawsze poprawiało jej nastrój. Przez chwilę poczuła się tak, jakby nic się nie zmieniło. Choć przecież tak naprawdę zmieniło się wszystko.

- Lucas... nauczył się... nowego słowa - wysapała Gina, zaglądając do kuchni przez otwarte okno. - *Gamberi*. Pierwszy raz widział tyle krewetek naraz. Bardzo mu się po-

dobalo w porcie, przygladal sie bacznie, jak rybacy wynosza na lad wszystkie te paskudztwa, ktore wy, Sycylijscy, tak sobie cenicie. Ja nigdy tego nie zrozumie, ale coz, trudno.

- Zafascynowaly go osmiornice - wpadl jej w slowo Francesco, usmiechajac sie od ucha do ucha. - Strasznie chcial, zebyśmy mu jedna kupili. Rybak wybral dla niego dogodny okaz, ktory jeszcze sie ruszal, a twój syn wlozyl go do wiaderka z woda i oswiadczyl, ze osmiornica nazywa sie Paolo, a kiedy wyszliśmy z portu, pobiegł na plaže i wypuscil. Paola do morza. Ten chłopak ma dopiero dwa lata, a juz zachowuje sie jak dzialacz Greenpeace!

Fia popatrzyła na synka, ktory musial porzadnie zmeczyc sie zabawa, bo grzecznie siedzial na jednym z krzesel przygotowanych dla gości i pil lemoniade z kubeczka, ostroźnie trzymajac go w obu malych dloniach. Popatrzyła na swoich przyjaciól - Gine i Francesca. Tych dwoje bez przerwy sobie docinalo, a przeciez stanowili idealna pare. I swiata poza soba nie widzieli... Fia zastanawiala sie czesto, ile jeszcze czasu uplynie, zanim to sobie uwiadomia. Popatrzyła na Budke Ratownika, lekki, drewniany budynek pomiedzy błękitnym niebem a kobaltowym morzem. To bylo jej zycie. Proste i w swej prostocie wspaniale. Swiadomosc, ze to zycie nieodwoalnie nalezy do przeszlosci, napelniala ja lodowatym, smiertelnym smutkiem.

- Biorę sie za przygotowywanie salatki - rzucila zdławionym głosem, odwrócila sie na pięcie i zaczęła energicznie myc ręce, pochylona nad zlewem.

Zimna woda pryskala, krople moczyły jej policzki, splywaly po nich jak lzy. Fia Baracchi nigdy nie plakala.

- Odpocznij. - Gina objela ja ramieniem i z troska zajrzala jej w oczy. - Widzę, ze ledwo zyjesz. Lucas zaraz pojdzie spac, juz kleja mu sie powieki. Będziemy miec co najmniej dwie godziny spokoju, wiec z Franceskiem poradzimy sobie bez problemu. Nie wiem, zjedz cos, wez chlodny prysznic, moze poloz sie na pol godziny, ale nie wracaj tu, dopoki nie bedziesz wygladac choc troche lepiej, bo wystraszysz nam gości. Jesteś blada jak trup.

- Dzięki, kochana. Rzeczywiście, kiepsko sie czuje - wymamrotala Fia, okropnie zakłopotana.

- Nie ma sprawy. Ostatnio, kiedy dopadła mnie paskudna migrena, wysłałaś mnie do łóżka bez dyskusji. Teraz moja kolej, żeby pokazać, kto tu naprawdę rządzi. - Gina puściła do Fii oko. - Leć do domu i o nic się nie martw.

Ruszyła więc posłusznie drewnianym pomostem ku domowi stojącemu na skraju klifu. Wolałaby ukryć się w kuchni, w codziennej krzątaninie. Ale rzeczywistość i tak prędzej czy później by ją dopadła, więc lepiej było zmierzyć się z nią, nie zwlekając. O tej porze Giuseppe zwykł siadywać na tarasie za domem, w cieniu rozłożystej pinii, sącząc swoje jedno dozwolone przez lekarza espresso i oddając się lekturze ulubionej gazety. Po prostu podejdzie, usiądzie naprzeciwko niego i... wyzna to, co wyznać musi.

Tylko jak ubrać w słowa prawdę ukrywaną od trzech lat? Jak przekazać bliskiemu człowiekowi wiadomość, która prawdopodobnie go zniszczy?

„Dziadziu, musimy porozmawiać o Lucasie”. Nie. Może raczej: „Nigdy ci nie powiedziała, kto jest ojcem Lucasa. Myślę, że najwyższy czas, żebym ci się zwierzyła...”.

Mój Boże, jakie to trudne, pomyślała, chowając głowę w ramiona i mocno, aż do bólu splatając palce. Nabrała tchu jak nurek przed skokiem do wody i otworzyła drzwi wiodące na taras.

Na kamiennej posadzce, pokrytej tu i ówdzie rdzawymi igłami pinii, leżał skurczony, ciemny kształt. Kształt człowieka. Rozpoznała go natychmiast, w przyływie przerażenia, które przeszło ją nagłym, palącym bólem. Dziadek. Coś się stało...

Rzuciła się ku niemu ze stłumionym szlochem. W następnej chwili była już na kolanach, unosila jego bezwładną, siwą głowę.

- *Nonno...*!

Człowiek, który wydawał jej się niezniszczalny jak skała, teraz leżał nieruchomy niczym zepsuta, porzucona marionetka. Oczy miał zamknięte, usta zaciśnięte, sine.

- Dziadziu! Boże, nie, proszę, nie... - Ręce jej drżały, kiedy ujmowała go za nadgarstek, próbowała wyczuć puls.

Na próżno. Pogotowie! Nie jest za późno, przekonywała samą siebie. Nie może być za późno. Tłumiąc szloch, sięgnęła do torebki po telefon... i zamarła. Nie miała torebki. Zostawiła ją w Budce Ratownika.

- Pomocy! - zawołała rozpaczliwie, bez nadziei, że ktoś ją usłyszy.



- Jest nieprzytomny? Sprawdź, czy oddycha - usłyszała stanowczy, męski głos.

Santo szedł ku niej szybkim krokiem, z telefonem przy uchu.

- Nie oddycha! - wyrzuciła z siebie, a on natychmiast zaczął mówić przez telefon, wydając szybkie, precyzyjne komendy.

- Pomoc jest już w drodze - powiedział w następnej chwili, a Fia osłabła z ulgi.

- Dziękuję...

Nawet na nią nie spojrział. Ukląkł obok nieprzytomnego Giuseppe, dotknął palcami jego szyi i zmarszczył brwi, maksymalnie skoncentrowany.

- Nie ma pulsu - powiedział cicho, rzeczowo. - Odsuń się, trzeba zacząć sztuczne oddychanie. I masaż serca.

- Dziadziu...! - Fia nie mogła się ruszyć.

Nie potrafiła zdobyć się na to, żeby wypuścić rękę Giuseppe z zeszywniałych, lodowatych palców.

- Nie pomożesz mu w ten sposób. - Santo ujął jej podbródek, zmuszając, żeby na niego spojrzała. W jego wzroku, całkowicie spokojnym, był rozkaz. Miała wziąć się w garść. - Dziadek cię nie słyszy. W tej chwili najbardziej potrzebuje tlenu.

Zamrugła, jakby budząc się z transu. Usłuchała. Wciąż na kolanach, przesunęła się i patrzyła bez słowa, jak Santo Ferrara przejmuje inicjatywę.

Ostrożnie ułożył starszego pana na plecach, pewnym ruchem odchylił mu głowę w tył i udroził drogi oddechowe. Zdjął marynarkę, zwinął, podłożył leżącemu pod kark i zaczął rytmicznie uciskać klatkę piersiową. Trzydzieści na dwa, przypomniała sobie Fia, obserwując, jak pracują jego muskularne ramiona, zmuszając krew do krążenia w bezwładnym ciele. Trzydzieści ucisków, dwa wdechy. Kiedy trzeba było przejść do sztucznego oddychania, Santo nie zawahał się nawet przez ułamek sekundy. Pochylony, tłoczył powietrze w usta Giuseppe z taką siłą, że pierś nieprzytomnego unosiła się do góry.

Mijały sekundy, a potem minuty, w ciszy wypełnionej wyteżonym, skupionym wysiłkiem ratowania życia. Kiedy na schodach zadudniły pospieszne kroki, Fia zerwała się, przekonana, że zobaczy sanitariuszy z noszami. Tymczasem na taras wpadł zwałisty mężczyzna w czarnym garniturze i czarnych okularach. Wyminął Fię, jakby jej w ogóle nie było, i postawił na ziemi niewielką, sztywną walizkę.

Santo przerwał reanimację.

- Fia, rozepnij dziadkowi koszulę - polecił, otwierając walizkę.

Zobaczyła płataninę kabli, dwa duże, płaskie uchwyty i wyświetlacz, który ożył, gdy Santo przekreślił włącznik.

- Ale... - Popatrzyła niepewnie na skomplikowaną aparaturę.

- Pospiesz się.

Posłusznie zaczęła rozpinąć guziki. Kiedy poczuła, że materiał jest mokry od potu, palce zaczęły jej się plątać.

Usłyszała, jak Santo rzuca stłumionym głosem soczyste, włoskie przekleństwo. Nie zaprotestowała, kiedy odepchnął jej drżące, niepewne ręce i zdecydowanym gestem zerwał materiał koszuli, obnażając pierś Giuseppe.

- Do tyłu! - polecił sucho, ujmując elektrody. - Cofnij się.

- Naprawdę chcesz tego użyć? - Fia popatrzyła z przerażeniem na skomplikowaną aparaturę w rękach człowieka, który miał wszelkie prawo nienawidzić jej dziadka. - A jeśli to go zabije?

Santo musiał odczytać jej myśli, bo uśmiechnął się krzywo.

- To urządzenie ma wbudowany specjalny elektroniczny chip, który automatycznie dobiera napięcie konieczne do wznowienia pracy serca - wycedził. - O ile wiem, nie bierze pod uwagę animozji dzielących pacjenta i ratownika.

Co miała robić? Wycofała się, jak jej kazał, i ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak Santo przeprowadza defibrylację. Jego rysy stężyły w wyrazie skupienia, ale ruchy miał pewne i precyzyjne. Bezwładne ciało Giuseppe podskoczyło upiornie, przeszyte silnym wyładowaniem energii elektrycznej. Fia krzyknęła cicho i zamilkła, kiedy na wyświetlaczu pozioma linia urwała się, wygięła, ułożyła w regularny ciąg spiczastych załamaniań, odwzorowujących skurcze komórek i przedsionków. Serce starszego pana zaczęło bić.

Fia usiadła wprost na ziemi, jak podcięta. Teraz, kiedy największe niebezpieczeństwo minęło i adrenalina opadła, przyszła słabość, dreszcze i zimny pot. Szumiało jej w uszach tak głośno, że ledwo usłyszała wycie nadjeżdżającego ambulansu. Jak przez mgłę widziała wbiegających na taras sanitariuszy, wciąż nieprzytomnego dziadka układanego na noszach, niesionego do karetki o wiele mniej ostrożnie, niżby sobie tego życzyła. Nie

miała siły protestować. Nie wiedziała, kogo zapytać o to, co stanie się z jej dziadkiem. Nie miała nawet pojęcia, gdzie go wiozą.

Na szczęście Santo kontrolował sytuację. Nie zastanawiała się nad tym, czy powinna mu ufać ani czy stać ją na to, żeby cokolwiek mu zawdzięczać. Po prostu przyłgnęła do niego, pewna, że i Giuseppe, i ona są pod dobrą opieką.

Nie zawiodła się.

Santo najpierw rozmówił się, krótko i konkretnie, z lekarzem z pogotowia. Następnie zadzwonił do szpitala i powołując się bez żenady na swoje nazwisko i wpływy, zażądał, żeby niejakim Giuseppe Baracchim zajął się najlepszy kardiolog na oddziale. A kiedy karetka włączyła sygnał i odjechała, po prostu wziął Fic za rękę, nie wdając się w dyskusje zaprowadził ją do samochodu i ruszył z piskiem opon.

- Zaraz będziemy w szpitalu - mruknął, nadeptując na pedał gazu. - Nie martw się.

Fia nie martwiła się. Nie zdążyła nawet zacząć. Kiedy potężne przyspieszenie wcisnęło ją w fotel, pomyślała tylko, że umiłowanie zbyt szybkiej jazdy, typowe dla Sycylijczyków, tym razem akurat zupełnie jej nie przeszkadza. Santo prowadził pewnie i płynnie, ze swobodą wynikającą z wprawy. Na szczęście nie mieli daleko; pomimo gęstego ruchu dojechali na miejsce w dwadzieścia minut.

- Teraz każą ci czekać w korytarzu. Nic nie powiedzą, dopóki nie przeprowadzą kompletu badań, a to może potrwać. - Santo zatrzymał samochód. Gmach szpitala wznosił się przed nimi, złowieszczy, szczerzący dziesiątki rzędów okien. - To czekanie jest najgorsze.

Głucha nuta w jego głosie zaskoczyła ją. Odpięła pas i zerknęła na niego. Siedział nieruchomo, wpatrując się w szklane drzwi izby przyjęć, oświetlone zimnym, jaskrawym blaskiem mocnych jarzeniówek. Choć wyłączył już silnik, nadal zaciskał dłonie na kierownicy. Tak mocno, że pobierały mu palce.

Chciała go zapytać, skąd tyle wiedział o szpitalach, ale w porę ugryzła się w język. Kilka lat temu jego ojciec umarł nagle na zawał; pisano o tym we wszystkich gazetach na wyspie. Czy przywieziono go do tej właśnie lecznicy? Czy tutaj Santo czekał w bezlitosnym blasku jarzeniówek, żeby w końcu dowiedzieć się, że nie ma już nadziei? Prawdopodobnie właśnie tak było.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - odezwała się, zdając sobie sprawę, że brzmi okropnie sztywno. - Przede wszystkim za to, że udzieliłeś dziadkowi pierwszej pomocy...

- Domyślam się, że Giuseppe nie przyjął najlepiej wiadomości, kto jest ojcem jego prawnuka - powiedział Santo ponuro, wciąż patrząc przed siebie.

Przez ułamek sekundy nie wiedziała, o co mu chodzi. A potem zrozumiała.

- Nie. Atak nie był spowodowany tą wiadomością. Dziadek nic jeszcze nie wie, nie zdążyłam mu powiedzieć. - Energicznie pokręciła głową. Zbyt wiele zawdzięczała Santowi w tej chwili, żeby obciążać jego sumienie czymś, co się nie wydarzyło. - Przyszłam do domu, żeby z nim porozmawiać, i zastałam go leżącego na tarasie. Był nieprzytomny. A ja kompletnie spanikowałam. - Zacisnęła usta, wściekła na siebie. - Zachowałam się jak idiotka. Gdyby nie ty...

- Nie obwiniaj się. Każdy traci głowę, kiedy widzi bliskiego człowieka w takim stanie - skwitował Santo, wysiadając z samochodu.

- Teraz już sobie poradzę sama, naprawdę - powiedziała pośpiesznie, dołączając do niego na schodach prowadzących do drzwi szpitala. - Nie chciałabym cię zatrzymywać.

Santo nie zwolnił kroku.

- Tak się składa, że już kiedyś tu byłem - powiedział przez zaciśnięte zęby - więc łatwiej znajdę drogę przez ten labirynt. W dodatku moje nazwisko otwiera tu wiele drzwi. Ironia chce, że budowę tego szpitala ufundował mój ojciec.

Nie wiedziała, co na to powiedzieć. W milczeniu ruszyła więc za nim, wdzięczna, że wziął na siebie rozmowy z kolejnymi postaciami w białych kitlach, które zastępowały im drogę. Nie zmylił jej spokojny ton jego głosu; czuła, że jest spięty. Widziała to w linii jego ramion, w pochyleniu głowy. Zmagał się z bolesnymi wspomnieniami.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będą ze sobą na tyle zżyci, by odważyła się mu powiedzieć, że gdy umarł jej ojciec, poczuła jedynie ulgę. Nikomu nigdy o tym nie mówiła, ale wspomnienie pogrzebu, który był dla niej pogodniejszym wydarzeniem niż niejeden rodzinny obiad, wciąż budziło w niej nieokreślone poczucie winy. Santo na pewno by jej nie zrozumiał; jego ojciec był dobrym człowiekiem, który serdecznie kochał trójkę swoich dzieci. Z wzajemnością. I to było cholernie niesprawiedliwe, że ktoś taki musiał odejść zbyt wcześnie.

Ona nie wyobrażała sobie, że mogłaby stracić dziadka.

Niebawem przekonała się, że Santo nie przesadzał ani trochę, kiedy mówił, że jego nazwisko Otwiera wiele drzwi. Zostali zaproszeni do gabinetu ordynatora, a kardiolog, który zajął się Giuseppe, pojawił się osobiście, żeby odpowiedzieć na ich pytania.

- Mój dziadek... Co z nim? - Fia zerwała się na równe nogi, gdy tylko lekarz pojawił się w drzwiach.

- Stan chorego jest stabilny. - Szpakowaty mężczyzna w białym fartuchu uniósł dłoń uspokajającym gestem. - Jego życie nie jest już zagrożone, ale ma za sobą zawał mięśnia sercowego spowodowany niedrożnością tętnicy wieńcowej. Na szczęście podjęli państwo szybką i bezbłędną akcję ratunkową. Gdyby nie użycie defibrylatora, prawdopodobnie nie zdążylibyśmy go uratować.

Fia patrzyła na doktora wielkimi oczami i kiwała głową. Z żargonu medycznego zrozumiała tylko, że dziadek nie był już w niebezpieczeństwie. I że zawdzięczała to Santowi.

A więc Santo Ferrara ocalił życie Giuseppe Baracchiemu. Jak bardzo mogła się jeszcze skomplikować historia tych dwóch sycylijskich rodów?

- Czy mogę zobaczyć się z dziadkiem? - spytała bez tchu.

- Na razie to niemożliwe. - Lekarz rozłożył ręce. - Pan Baracchi jest na intensywnej terapii. Podajemy kroplówkę, monitorujemy pracę serca. Muszą się państwo zdobyć na cierpliwość.

Zatem wszystko odbywało się dokładnie tak, jak Santo przewidział. Trzeba było czekać. Co prawda fotele w holu okazały się zaskakująco wygodne, a jarzeniówki były tu wyłączone, bo przez duże okna wpadało światło słońca, ale Fia i tak czuła się zagubiona i bezradna. Z niepokojem obserwowała Santa, który krążył tam i z powrotem po niewielkiej przestrzeni, z rękami w kieszeniach i grymasem napięcia na twarzy,

Gdyby się nie zjawił zupełnie niespodziewanie w jej domu, Giuseppe umarłby tam, na tarasie, a ona nie byłaby w stanie mu pomóc. Tymczasem Santo Ferrara w jednej chwili właściwie ocenił sytuację i podjął konieczne działania. Przewidział, że karetka pogotowia może nie dojechać na czas, więc zażądał przywiezienia defibrylatora z hotelu. Typ w czarnych okularach był pewnie jego szoferem albo ochroniarzem, albo jedno i

drugie. Obojętne, dość, że zjawił się w ciągu kilku minut. A Santo ani na chwilę nie stracił zimnej krwi. Potrafił przeprowadzić reanimację, użyć defibrylatora. Potrafił, pomyślała Fia z dreszczem podziwu, ocalić ludzkie życie.

Powiodła za nim wzrokiem i prawie się uśmiechnęła, kiedy na dnie jej serca zaczęło kiełkować gorące uczucie wdzięczności. Wołała o pomoc i została usłyszana. Pojawił się natychmiast...

Tok jej myśli urwał się gwałtownie. Zamarła.

Dlaczego Santo przyszedł do domu Baracchich akurat wtedy? Nie mógł się przecież spodziewać, że ją zastanie, bo zawsze o tej porze była w Budce Ratownika. Wniosek był tylko jeden - Santo przyszedł, żeby się zobaczyć z Giuseppe. Choć inaczej się z nią umówił, postanowił widocznie, że weźmie sprawy w swoje ręce. Przyspieszy bieg wydarzeń. Chciał zdybać starszego pana, gdy będzie sam, oświadczyć mu prosto z mostu, że Lucas jest jego dzieckiem. Może liczył na to, że przyparty do muru Giuseppe zgodzi się sprzedać Ferrarom ziemię nad zatoką? Santo upiekłby w ten sposób dwie pieczenie na jednym ogniu.

Fia zmrużyła oczy, nagle nieufna. Giuseppe był w dobrych rękach, Santo nie mógł już nic więcej dla niego zrobić. Dlaczego więc nie wracał do swoich ważnych spraw? Dlaczego krążył wokół niej, jakby jej pilnował? Czyżby zamierzał rozmówić się z Giuseppe tutaj, w szpitalu?

Nie, tylko nie to.

- Posłuchaj, nie ma sensu, żebyś tracił czas - zaczęła ostrożnie. - Giuseppe dziś raczej nie będzie w stanie wysłuchać tego, co masz mu do powiedzenia, ani o Lucasie, ani o ofercie zakupu ziemi Baracchich.

Santo zatrzymał się i powoli obrócił w jej stronę.

- Naprawdę sądzisz - spojrzał na nią zimno - że tkwię tutaj, bo mam zamiar przy pierwszej sposobności oświecić Giuseppe w kwestii naszych rodzinnych powiązań? Tak z ciekawości, uważasz mnie za wyrachowanego łajdaka czy za niepoczytalnego psychopata?

Fia wbiła wzrok we własne stopy. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Santo milczał także. Spojrzał w okno; niebo nad horyzontem białe od upału, ale tutaj, w tym sterylnym wnętrzu pomalowanym na brzydki, bladozielony kolor, klimatyzacja utrzymywała martwy chłód. Nie znosił szpitali.

- Przepraszam, nie chciałam cię urazić - odezwała się cicho. - Ale faktem jest, że przyszedłeś do mojego dziadka, żeby się z nim rozmówić za moimi plecami. Myślałam więc...

- Nie przyszedłem do twojego dziadka - wpadł jej w słowo.

- Jak to?

- Przyszedłem do ciebie. - Zmusił się, żeby przestać krążyć po korytarzu i usiąść na krześle naprzeciwko niej. - Kiedy się rozstaliśmy po porannej rozmowie, byłaś blada jak śmierć. Powinienem był cię odprowadzić, ale byłem tak zaaferowany, że o tym nie pomyślałem. Puściłem cię samą, poszłaś, a ja spędziłem w biurze jeszcze dobrą godzinę. Kiedy wreszcie uświadomiłem sobie mój błąd, natychmiast pojechałem do Budki Ratownika, żeby sprawdzić, czy dotarłaś bezpiecznie i czy wszystko z tobą w porządku. Powiedziano mi, że źle się poczułaś i poszłaś do domu. Uznałem, że nie zaszkodzi zajrzeć do ciebie. Okazało się, że miałem rację.

- Cóż, dziękuję ci jeszcze raz. - Złączyła dłonie na kolanach, mocno, kurczowo splotła palce. - Za wszystko. Ale teraz naprawdę nie chciałabym cię zatrzymywać. Poradzę sobie.

Pochylił się ku niej, odnalazł jej wzrok swoim ciemnym, badawczym spojrzeniem.

- Czy masz kogoś bliskiego, kto mógłby być z tobą w tej chwili? Kto mógłby cię wesprzeć?

Pokręciła głową.

- Nie potrzebuję wsparcia. Gina zajmie się Lucasem do wieczora. Francesco przejmie kuchnię, a jego młodsze siostry chętnie dorobią sobie do kieszonkowego jako kelnerki. Często je zatrudniamy, kiedy potrzebujemy dodatkowej pomocy.

- Nie mówiłem o takim wsparciu, Fia. Naprawdę nie rozumiesz? Człowiek, który przez lata zastępował ci ojca i matkę, leży za tymi drzwiami i walczy o życie. A ty mówisz, że nie ma problemu, bo możesz zatrudnić dodatkowe kelnerki? Wiem, że nauczyłaś się po mistrzowsku ukrywać emocje. Zawsze ze wszystkim radziłaś sobie sama. Ale te

czasy się skończyły. Nie zamierzam zostawić cię tutaj, z tej prostej przyczyny, że teraz już nie jesteś sama. Jesteśmy razem, ty i ja. Razem będziemy przeżywać wszystkie ważne rodzinne wydarzenia, takie jak choroby bliskich, narodziny dzieci, śluby, a także pogrzeby. Zresztą, mniej ważne wydarzenia też będziemy przeżywać razem. Na tym właśnie polega związek dwojga ludzi. A my dwoje będziemy tworzyć związek, *tesoro*.

Spojrzała na niego, spłoszona. W jej szarych oczach była czujność. I niedowierzenie.

- Pobierzemy się - powiedział z naciskiem, nie spuszczając z niej wzroku. - Zostaniesz moją żoną. Prawda?

Chciała zaprotestować, ale ze zgrozą stwierdziła, że nie może wydobyć głosu. Jakby w tym decydującym momencie jej ciało postanowiło przejąć inicjatywę i nie ugiąć się pod rozkazem woli. Chciała chociaż pokręcić głową przecząco, ale nie była w stanie zrobić nawet tego.

Bezsilna wobec potężnej emocji, która unieruchomiła ją i odebrała jej głos, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Jego ciemne spojrzenie było szczere i pełne determinacji.

Czy mogła w nim dostrzec także swoją przyszłość?

Wpatrywali się w siebie nawzajem w milczeniu, skupieni, jak wędrowcy studiujący mapę w poszukiwaniu szlaku, który przeprowadziłby ich przez niebezpieczny teren.

- Pani Baracchi i pan Ferrara?

- Tak. - Fia poderwała się z miejsca.

W drzwiach prowadzących na oddział stała czarnowłosa pielęgniarka o matczy-nych krągłościach i ciepłym uśmiechu.

- Pan Giuseppe Baracchi najgorsze ma już za sobą, akcja serca ustabilizowała się. Jest jednak bardzo zaniepokojony, cały czas pyta o państwa. Zazwyczaj nie dopuszczamy do odwiedzin, dopóki chory nie nabierze więcej sił, ale tym razem chcielibyśmy zrobić wyjątek. Jakaś sprawa nie daje pani dziadkowi spokoju, chce koniecznie porozmawiać o czymś bardzo ważnym. Mamy nadzieję, że krótka rozmowa pomoże mu się odprężyć. Spokój jest teraz dla niego szalenie ważny.

- Jasne, oczywiście. - Fia ruszyła do drzwi. - Postaram się uspokoić dziadka.



- Nie tak szybko, kochanie. - Pielęgniarka położyła rękę na jej ramieniu. - Musiałam niedokładnie się wyrazić. Pan Baracchi chce rozmawiać z panem Ferrarą. Od chwili, gdy odzyskał przytomność, nie przestaje powtarzać, że musi zobaczyć się z Santem. Nie chce się uspokoić, odmawia przyjęcia środków nasennych. Wygląda na to, że ma coś naprawdę bardzo ważnego do powiedzenia, a ponieważ pan Santo jest na miejscu, uważamy, że najlepiej będzie...

- Nie! - jęknęła Fia.

- Oczywiście, porozmawiam z nim - odezwał się w tej samej chwili Santo.

Pielęgniarka posłała obojgu dość podejrzliwe spojrzenie.

- Mogą państwo wejść razem. Zaraz pokażę, gdzie leży pan Giuseppe. Ale proszę pamiętać, że rozmowa musi być krótka i że choremu pod żadnym pozorem nie wolno się denerwować - oświadczyła, energicznie ruszając przodem.

Fia uczepliła się ramienia Santa.

- Proszę, nie rób tego - wyszeptwała błagalnie. - Nie mów mu o Lucasie, nie teraz. Obiecuję, że kiedy nabierze sił, sama z nim to załatwię...

Dlaczego dziadek chciał rozmawiać z Santem? Nie miała pojęcia i to ją przerażało. Czy był... w pełni władz umysłowych? Czy spodziewał się, że niedługo umrze, i zamierzał jeszcze raz przekląć człowieka, którego uważał za winnego śmierci wnuka?

Jedno było pewne - z tej rozmowy nie mogło wyniknąć nic dobrego.

Santo pochylił się ku niej, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył. Pielęgniarka otworzyła drzwi do jednej z izolatek i usunęła się na bok, gestem zapraszając ich do wejścia.

Fia przestąpiła próg i zatrzymała się raptownie, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Jej dziadek, rasowy Sycylijczyk, który nigdy nie ubierał się inaczej niż w śnieżnobiałe koszule i czarne garnitury, i pomimo swojego wieku zawsze chodził dumnie wyprostowany i starannie uczesany, teraz leżał, wymizerowany i bezradny jak dziecko, na szpitalnym łóżku. Siwe włosy miał zmierzwiłone i pozlepiane, a koszula nocna w zielone kropki, w którą go ubrano, potęgowała ponure wrażenie. Wyglądał... smutno. Przerażliwie smutno. Fia bała się nawet spojrzeć na płataninę kabli, która łączyła go ze stojącą obok łóżka maszyną, wypełniającą pokój cichym, rytmicznym popiskiwaniami.

Przemknęło jej przez głowę, że nie może okazać słabości, i zacisnęła zęby, próbując wziąć się w garść. Bezskutecznie. Z przerażeniem poczuła, że zaczyna Jej się kręcić w głowie. Zachwiałyby się, gdyby nie Otoczyło jej mocne, męskie ramię. Santo stał obok niej, poważny, nieporuszony. Wsparała się na nim i odetchnęła swobodniej, czując, jak napelnia ją otucha.

Nie była sama.

W następnej chwili Giuseppe otworzył oczy, więc zapomniała o osłabieniu, uwolniła się z uścisku Santa i podbiegła do łóżka.

- *Nonno!* Jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze... - zaczęła, ale urwała.

Dziadek zdawał się jej w ogóle nie widzieć. Całą uwagę skupił na mężczyźnie stojącym w drzwiach izolatki. Ciemne oczy, otoczone siecią zmarszczek, ożywiły się nagle, zapłonęły.

- Ferrara.

- We własnej osobie. - Santo skinął głową starszemu panu. - Giuseppe, porządnie nas wystraszyłeś. Cieszę się, że już czujesz się lepiej - dodał swobodnie, podchodząc bliżej.

- Ferrara - zaczął znowu Giuseppe. Głos miał drżący i niepewny, jak dźwięk pękniętego instrumentu. - Muszę cię zapytać, jakie są twoje intencje.

Fia opowiadała później, że z jej perspektywy scena ta wyglądała wstrząsająco. Stary człowiek, leżący bez sił w białej pościeli, i młody mężczyzna emanujący energią, wysoki i postawny w swoim czarnym, eleganckim garniturze, przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem. Był to prawdziwy pojedynek na spojrzenia. W oczach Giuseppe był ogień emocji i niemy, nagły rozkaz, we wzroku Santa - chłodny spokój.

- Moje intencje są proste. Zamierzam być ojcem dla mojego syna.

Dwa zdania, wypowiedziane z niespieszną stanowczością, wybrzmiały w ciszy punktowanej miarowo wysokimi, elektronicznymi odgłosami aparatury medycznej.

Fia zamknęła oczy, czekając na katastrofę.

- Nareszcie! - powiedział Giuseppe z mocą, głośno i wyraźnie, jak gdyby jego pierś została uwolniona od jakiegoś ogromnego, przygniatającego ciężaru. - Od dawna czekałem, aż postąpisz wobec mojej wnuczki jak człowiek honoru. Aż weźmiesz odpowie-

działność za dziecko. Czekałem w milczeniu, bo wiedziałem, że moja Fiammetta jest dumna i nie zniesie, bym wtrącał się w jej życie. Zabroniła mi nawet wypowiadać twoje imię!

Stary Sycyliczyk rozkaszał się, skrzywił, złapał oddech.

- Powiedz mi, Ferrara - wycedził. - Co to za mężczyzna, który płodzi dziecko, a potem zostawia jego matkę samą? Który pozwala, żeby harowała od świtu do nocy, wychowując syna i zarabiając na chleb?

- Mężczyzna, który do wczoraj nie miał pojęcia, że został ojcem - odparł Santo z powagą. - Mężczyzna, który popełnił błąd i nie zatroszczył się o wspianą kobietę, gdy ta obdarzyła go względami, na jakie z pewnością nie zasłużył. Ale od dziś ma szczerą wolę wszystkie te błędy naprawić.

Fia ledwo słyszała, co Santo mówi. Serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe, krew tętniła w skroniach, szumiała w uszach. Nie miała pojęcia, że gapi się na dziadka z otwartymi ustami.

- Patrzcie ją, jaka zdziwiona - prychnął Giuseppe. - Sądziłaś, że niczego się nie domyślam? Przecież widziałaś, jaki jestem na niego zły. Nie zastanawiałaś się dlaczego?

- Myślałam... - Fia westchnęła drżąco i opadła krzesło, które na szczęście stało w pobliżu.

- Myślałaś, że chodzi o tę durną waśń. O kłótnię o ziemię. I o śmierć twojego brata. - Giuseppe przymknął oczy.

Zmęczenie zaczynało dawać o sobie znać.

- Cóż, rodzinna waśń już dawno przestała mnie obchodzić. To się zrobiło zwyczajnie nudne. Ale kiedy zginął twój brat, szalałem z rozpacz. Powiedziałem na temat Santa Ferrary wiele rzeczy, których nie powinienem był mówić. Ale gdy wreszcie dojrzałem do tego, żeby wszystko odwołać, moja Fia wróciła ze szpitala z małym Ferrarą w ramionach. Ale dużego Ferrary nie było przy niej, więc straciłem ochotę na pojednawcze gesty.

- Dziadku, musisz odpocząć - wtrąciła Fia, widząc, że starszy pan z trudem łapie oddech.

Jego pierś unosiła się i opadała coraz szybciej.

- Zawsze myśli o innych, nigdy o sobie. - Giuseppe drżącą ręką wskazał wnuczkę, zwracając się do Santa. - Jest mężna jak gladiator, ale wszystkich wokół rozpieszcza. Uważaj na nią, Ferrara, bo gotowa twojego syna zagłaskać na śmierć.

Tym razem atak kaszlu był bardziej dokuczliwy. Widząc, że starszy pan nie może złapać tchu, Fia sięgnęła do przycisku alarmowego.

- Zanim wpadną tu te konowały i dadzą mi jakiś zastrzyk, po którym nie będę wiedział, jak się nazywam - wydusił Giuseppe z wysiłkiem - muszę cię jeszcze o coś zapytać, Ferrara. Teraz, kiedy już wiesz, że jesteś ojcem jej dziecka, jak zamierzasz postąpić?

Santo nie zawahał się nawet przez moment.

- Zamierzam ożenić się z twoją wnuczką, Giuseppe. Zamierzam poślubić Fiammettę Baracchi.

TLR

# ROZDZIAŁ PIĄTY

Santo Ferrara naprawdę szczerze nienawidził szpitali. Choć panowała tu sterylność i zimna zieleń, światła były jaskrawe, a powietrze przesycone wonią jakiegoś żrącego środka dezynfekującego, po kilku godzinach spędzonych w poczekalni miał wrażenie, że lepi się od brudu. Prawdopodobnie był to skutek zmęczenia. Przez cały dzień nie robił praktycznie niczego poza spacerowaniem po korytarzu, od automatu wydającego ciekawą kawę do okna i z powrotem, a jednak czuł się wyczerpany. Bardziej niż po najdłuższym dniu pracy.

Kiedy za oknami słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, niebo na horyzoncie przybrało szafirową barwę, a cienie cyprysów rosnących przy drodze dojazdowej wydłużyły się i ściemniały, uznał, że czas zabrać Fię do domu.

Minął kolejny dzień, a jemu nie było dane zobaczyć swojego synka. Nie wziął go na ręce. Nie pogłaskał; po głowie, nie zwichrzył tych jego czarnych, gęstych kędziorów. Nie pocałował go w okrągły policzek. Nie bawił się z nim, nie słyszał jego śmiechu... Zaciśnął palce na jednorazowym kubku, miażdżąc go z suchym chrzęstem. Był sfrustrowany. Nie. Był wściekły.

Wielkimi krokami przeszedł przez korytarz, chyba tysięczny raz w ciągu tych długich godzin, gdy Fia czuwała przy śpiącym dziadku, i ostrożnie uchylił drzwi izolatki. Nie zauważyła go. Siedziała nieruchomo na brzegu łóżka, trzymając rękę Giuseppe w swoich dłoniach, skoncentrowana, jakby siłą woli chciała przelać w niego część swojej witalnej energii. Plecy miała wyprostowane, ale twarz równie białą jak szpitalna pościel. Jej włosy odcinały się barwą żywego ognia od zimnego, ponurego tła.

Nigdy w życiu nie widział bardziej samotnej istoty.

Mężna jak gladiator, pomyślał Santo. Giuseppe miał rację co do niej. Choć on osobiście nazwałby ją raczej samotną wilczycą. Potrafiła przeżyć w najbardziej surowych warunkach. Była silna, niezależna i równie nieufna w odniesieniu do obcych, co lojalna wobec swoich. Czyli wobec starego człowieka leżącego teraz w szpitalnym łóżku i dwuletniego chłopca, który czekał w domu. Więcej bliskich nie miała.

Na razie.

Gdyby na tym łóżku leżał ktoś z rodziny Ferrarów, pomyślał Santo, szpitalna poczekalnia roiłaby się od bliższych i dalszych krewnych. Kto żyw, wpadłby przynajmniej na chwilę, żeby odwiedzić chorego. Nie tylko jego dzieci czy wnuki, ale także ich ciotki, wujowie, kuzynostwo - wszyscy sejmikowaliby pod drzwiami izolatki, zadrećzali szpitalny personel pytaniami, wylewnie okazywali sobie wsparcie, wyjmowali termosy z kawą, częstowali się przyniesionymi z domu kanapkami...

Fia była sama. Za całe towarzystwo miała ciszę.

- Jak tam? - zapytał szeptem, nie chcąc mącić tej ciszy.

- Dali mu środek nasenny. I coś jeszcze, nie wiem co. Pozwolili mi posiedzieć przy nim, ale mam go nie budzić. Mówią, że powinien spokojnie przespać noc - odparła równie cicho. W zimnym świetle widać było wyraźnie sine, nieładne cienie pod jej zmęczonymi oczami.

- Chodźmy. - Nie podniósł głosu, ale wyciągnął ku niej rękę tak zdecydowanym gestem, że nie zaprotestowała.

- Gdyby nie spał, byłby na mnie zły, że trzymam go za rękę - powiedziała cicho, jakby do siebie, ostrożnie kładąc dłoń Giuseppe na kołdrze. - Dziadek nie znosi czułości. Zawsze taki był.

Ale ty taka nie jesteś, pomyślał Santo. Jesteś zupełnie, ale to zupełnie inna. Rozkwitasz pod czułym dotykiem. Możesz to ukrywać przed całym światem, ale ja wiem. Pokazałaś mi w starej szopie na łodzie...

Wziął ją pod ramię i poprowadził do drzwi. Chciał, żeby wreszcie wyszli ze szpitala. Dopóki tu tkwił, miał nieznośne wrażenie, że jego życie zatrzymało się w miejscu, a on zagłębia się powoli, nieubłaganie, w duszących, ruchomych piaskach. Musiał odechnąć świeżym powietrzem. W progu izolatki Fia obróciła się nagle i popatrzyła na dziadka z rozpaczą w oczach. Usta jej zadrżały. Santo zapomniał o niecierpliwości.

- Dzisiaj już niczego więcej dla niego nie zrobisz - powiedział łagodnie, jakby mówił do dziecka. - Giuseppe jest pod dobrą opieką, a ty za chwilę zemdlejesz z wyczerpania i tylko przysporzysz kłopotów personelowi szpitala. Zawiozę cię do domu. Dyżurny lekarz zobowiązał się informować nas na bieżąco, jeżeli będą jakiegokolwiek zmiany. Gdyby coś się działo, będziesz przy dziadku w kilkanaście minut.

Fia pozwoliła się zaprowadzić do windy, a potem przez mocno już opustoszały parking, do samochodu. Dopiero kiedy Santo otworzył przed nią drzwi samochodu i opadła na cudownie miękkie, obite skórą fotele, poczuła, jak śmiertelnie jest zmęczona.

Powtarzała sobie, że nie ma się czym denerwować. Lekarz dyżurny zobowiązał się przecież...

„...informować nas na bieżąco”.

Nas?

Fia wyprostowała się gwałtownie.

- Przypuśćmy, że w nocy dziadkowi się pogorszy - powiedziała słabo. - Jak szpital mnie o tym powiadomi? Gdzie ja miałam głowę, nie zostawiłam im nawet telefonu...

- Nie szkodzi. - Santo zręcznie wyprzedził wlokącą się wąską szosą ciężarówkę. - Podał im mój numer. I to wystarczy, bo nie zostawię cię samej tej nocy. Mam nadzieję, że masz u siebie wolną kanapę.

Powiedział to spokojnym, oznajmującym tonem, i Fia zacisnęła zęby, żeby nie wyrwało jej się coś, czego mogłaby potem żałować.

- Nie sądzisz, że powinieneś najpierw zapytać mnie o zdanie? - odezwała się po chwili ciężkiego milczenia.

- Sądzę, że jeżeli nie jesteś kompletną idiotką, skorzystasz z mojej propozycji - odparł zimno. - Jesteś sama, masz małe dziecko. Co z nim zrobisz, jeżeli się okaże, że musisz jechać do szpitala? Ja mogę was oboje zawieźć i zostać z małym w samochodzie, kiedy pójdziesz do dziadka. Wiesz przecież, że zdrowe dzieci nie mają wstępu do szpitala. Chcę ci po prostu pomóc.

Miał stuprocentową rację, ale ona nie była jeszcze gotowa, żeby to przyznać.

- Powiedz raczej, że chcesz wykorzystać sytuację - syknęła.

Milczał. Wystarczająco długo, żeby zrobiło jej się wstyd. Skuliła się w fotelu.

- Typowy przykład pokrętnego myślenia Baracchich - skwitował Santo. - Ale udawajmy, że nic nie słyszałem. Jesteś zbyt zmęczona, bym miał brać twoje słowa na poważnie.

- Przepraszam - wydukała.

- Założę się, że od śniadania nic nie jadłaś - powiedział on w tej samej chwili. - Musisz umierać z głodu.

Kiedy Fia rzuciła mu zaskoczone spojrzenie, Santo omal nie wybuchnął śmiechem. To z kolei było typowe myślenie Ferrarów. W jego rodzinie wierzono święcie, że za pomocą dobrego jedzenia można zażegnać albo przynajmniej złagodzić każdy kryzys.

- Nie jestem głodna. - Pokręciła głową jak uparte dziecko.

Twarz miała szarą, usta tak blade, że wyróżniały się właściwie tylko kształtem.

- Szewc bez butów chodzi, więc założę się, że twoja lodówka świeci pustkami. - Santo skręcił gwałtownie i zaparkował przed nocnym sklepem.

- Mówiłam ci, że nie jestem głodna.

- A ja ci jeszcze nie mówiłem, że mam pewną zasadę, od której nigdy nie odstępuję. Reanimuję tylko jedną osobę dziennie. Poczekaj tutaj - rzucił i wysiadł z samochodu. Zamykając drzwi, zobaczył jeszcze, jak Fia odchyła głowę na oparcie fotela i zamyka oczy.

W sklepie stanął przed półkami pełnymi kolorowych opakowań i poczuł się zupełnie bezradny. Nie przepadał za robieniem zakupów. Zwłaszcza jeśli miał kupować jedzenie dla kogoś, kogo zupełnie nie znał. Nie miał pojęcia, czym należało nakarmić kobietę, która była uznaną szefową kuchni. Nie znał jej ulubionych smaków...

Nieprawda. Znał je doskonale.

Uśmiechając się do wspomnień, sięgnął po ciabattę z oliwkami i gomółkę pecorino. Niewiele wiedział o Fiammetcie Baracchi, matce swojego dziecka i swojej przyszłej żonie, ale tę jedną rzecz wiedział o niej z całą pewnością. Uwielbiała ciabattę z oliwkami i pecorino. Po namyśle włożył jeszcze do koszyka dwie butelki *peroni*, szczoteczkę do zębów, karton mleka i kilka rzeczy, które lubił jeść na śniadanie.

Miał przeczucie, że spędzi w domu Baracchich bardzo miły poranek.

Nie oponowała więcej. Poprosiła tylko, żeby najpierw zawiózł ją do Budki Ratownika i poczekał chwilę w samochodzie. Pobiegnęła na zaplecze i po paru minutach wróciła ze sporym zawiniątkiem w ramionach. Patrzył na nią, gdy szła żwirową alejką, bez widocznego wysiłku niosąc dużego jak na swój wiek, dwuletniego chłopca, i myślał z mimowolnym podziwem o tym, ile siły kryła w sobie ta filigranowa kobieta.



A potem zobaczył małe rączki, mocno obejmujące jej szyję, i coś mrocznego targnęło się w jego piersi. Zazdrość? Żal? Tęsknota?

Zacisnął szczęki i skupił się na konkretach. Otworzył, a potem zamknął drzwi pasażera, ostrożnie, cicho, żeby nie obudzić dziecka. Wycofał się z parkingu, podjechał pod dom Baracchich. Wziął torbę z zakupami i wszedł za Fią po kamiennych schodkach na ganek. Czekał, gdy otwierała dużym, ciężkim kluczem drewniane drzwi. Obserwował w milczeniu, jak układa Lucasa w łóżeczku, jak pochyła się nad nim, całuje go w czoło i szeptem życzy mu dobrej nocy. Chłopiec otworzył oczy, posłał mamie senne spojrzenie, uśmiechnął się i znów zapadł w sen, tuląc do siebie z uczuciem żółtą pluszową żyrafkę. Santo nie odważył się przestąpić progu sypialni. Lucas go nie znał; gdyby go zobaczył, z pewnością nie uśmiechnąłby się ufnie. Być może zacząłby płakać ze strachu.

Powiedział sobie twardo, że rozczulanie się nad sobą nie ma sensu. Kuchnię odnalazł bez trudu. Urządzono ją w dużym pomieszczeniu pełniącym także rolę salonu, z przeszklonymi drzwiami wiodącymi na taras. Zapalił staroświecką lampę stojącą na drewnianym stole, sięgnął do kredensu po dwa kamionkowe talerze i wysokie szklanki. Fia stanęła w drzwiach, kiedy kładł ciabattę i pecorino na desce do krojenia.

Kiedy oparła się o framugę, krzyżując ramiona na piersi, zagapił się na jej dekolt. Nie mógł nic na to poradzić - nie był w stanie myśleć o niej tylko jako o matce Lucasa albo o osobie dotkniętej życiowym dramatem, jakim była ciężka choroba bliskiego człowieka. Fia była na to zbyt... intrygująca. Och, spotkał w życiu wiele kobiet, które, obiektywnie rzecz biorąc, były piękniejsze od niej. Miały idealne kształty, klasyczne rysy, alabastrową cerę. Włosy gładkie jak jedwab, duże niebieskie oczy...

Ale żadna z nich nie była Fią. Żadna nie miała twarzy tak wyrazistej, żadna nie potrafiła wyglądać tak delikatnie i tak zadziornie zarazem. Może i miały seksowne kształty, ale żadna nie miała figury takiej jak Fia - filigranowej, szczupłej i prężnej jak u lekkoatletki, lecz jednocześnie sugestywnie kobiecej. Żadna nie kryła jasnych, piegowatych ramion w chmurze ognistych loków. Żadna nie miała takich brwi, szerokich jak skrzydła jaskółki, i nie marszczyła ich w tak wymowny sposób jak Fia w tej chwili, gdy spoglądała na przygotowany przez niego poczęstunek.

Patrzył, jak idzie ku niemu, boso, ubrana w szare dżinsy i równie szary podkoszulek na szerokich ramiączkach. Bluzkę i sandały musiała zostawić w sypialni; wieczór rzeczywiście był wyjątkowo ciepły. Elastyczny materiał dżinsów zdawał się pieścić miękkim dotykiem jej krągłe biodra i szczupłe uda, koszulka w szalenie interesujący sposób opinała się na jej biuście, a chłodny kolor podkreślał jasną złocistość usianej piegami skóry.

Ta albo żadna, pomyślał nagle, w przeblysku zrozumienia tak potężnym, że aż przeszywającym dreszczem. Ta kobieta była mu pisana. Nawet gdyby na świecie nie było Lucasa, prędzej czy później pojawiłby się tylko ją chce za żonę. Fia była jego jedyną prawdziwą... fascynacją. Właściwie - od zawsze.

- Siadaj. - Zmusił się, żeby wrócić do rzeczywistości. - I jedz. Tylko mi nie mów, że nie lubisz pecorino, bo nie uwierzę. Uwielbiasz je. To jedna z niewielu rzeczy, którą o tobie wiem.

- Skąd...? - Popatrzyła na niego nieufnie, ale podeszła do stołu, wpatrując się jak zahipnotyzowana w leżące na nim jedzenie.

Ciekawe, kiedy ostatni raz ktoś nakrył dla niej stół, przemknęło przez głowę Santowi. Ciekawe, kiedy ostatni raz ktoś przygotował dla niej posiłek. Pewnie w ogóle takiego wydarzenia nie pamiętała; była przyzwyczajona, i to od lat, że to ona obsługuje wszystkich wokół.

- Stąd, że za każdym razem, kiedy widziałem cię w starej szopie na łodzie, miałaś ze sobą to samo jedzenie, przemycone z domu. Kawalki pecorino i ciabattę. A kiedy udało ci się zwinąć w dodatku jeszcze kilka oliwek, wyglądałaś na szczególnie zadowoloną.

Spuściła wzrok i przygryzła wargę. Pomyślał, że skwituje jego uwagę milczeniem, ale ona pokręciła głową i zaśmiała się. Gdyby słuchał mniej uważnie, nie wychwyciłby w jej głosie sztucznej nuty.

- Lubiałam długie spacerowanie nad morzem. Nie chciało mi się wracać do domu na obiad...

- Najchętniej w ogóle nie wracałabyś do tego domu.

- Fakt - przyznała, poważniejąc. - Nie uważasz, że to śmieszne? Jak sam przyznajesz, wiesz o mnie niewiele więcej niż to, że lubię owczy ser. I oliwki. A jednak sugerujesz małżeństwo.

- Nie sugeruję. - Santo otworzył butelkę i napełnił szklanki jasnożółtym, pianistym płynem. - Nalegam na małżeństwo. I mam błogosławieństwo Giuseppe.

- Mój dziadek wyznaje staromodne poglądy - skrzywiła się i ukroiła sobie solidny kawałek pecorino. - A ja nie. Nie będę wychodzić za mąż dla pozorów.

- Nie sądzę, żeby twojemu dziadkowi chodziło tylko o pozory. - Santo udawał, że całą uwagę poświęca krojeniu ciabatty na grube kromki. - Gdyby był taki staromodny, jak twierdzisz, dawno zrobiłby wszystko, żebyś przestała być panną z dzieckiem. Ale on milczał, z szacunku do ciebie. A moja deklaracja ucieszyła go, bo dostrzega zalety naszego małżeństwa.

- Zalety? - Przekrzywiła głowę. - Ja, szczerze mówiąc, mam spore trudności z ich dostrzeżeniem.

- Ach, tak? - wycedził, mrużąc oczy. - Lucas będzie miał rodzinę. Prawdziwą, dużą, głośną, wesołą i serdeczną rodzinę.

- W dzisiejszych czasach nie trzeba brać ślubu, żeby być rodziną - rzuciła, siląc się na lekki ton. - Są inne rozwiązania.

- Nie dla mnie - uciął zdecydowanie. - Może wyznaję staromodne poglądy, ale nie będę weekendowym ojcem. I nie będę żył z tobą na kocią łapę. Zaslugujesz na to, żebym głośno się do ciebie przyznał. Chcę wziąć odpowiedzialność za naszą relację i za nasze dziecko. Wobec prawa, wobec ludzi i wobec Boga.

- Piękne słowa - prychnęła, wyraźnie nieprzekonana. - Tyle tylko, że coś takiego jak nasza relacja, po prostu nie istnieje. Jesteśmy dwojgiem obcych sobie ludzi, pochodzący z różnych środowisk. Nie pasujemy do siebie...

- O, tu nie masz racji. - Odchylił się na oparcie krzesła i niespiesznie pociągnął łyk piwa. - Pasujemy do siebie znakomicie przynajmniej w jednej, bardzo istotnej dziedzinie życia. A zwłaszcza życia małżeńskiego.

Policzki Fii zabarwiły się ciemną czerwienią. Chwyciła swoją szklankę i opróżniła duszkiem do połowy.

- Rozumiem, że jesteś pełnej krwi Sycylińczykiem - wyrzuciła z siebie - ale nie możesz na serio uważać, że wystarczy dobry seks, żeby stworzyć szczęśliwe małżeństwo!

- Czyli przyznajesz, że seks był dobry. - Posłał jej szeroki uśmiech. - Proszę, jacy jesteśmy zgodni.

- Przestań - odparowała, ale nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Patrzyła w jego ciemne oczy, które błyszczały humorem i inteligencją, i czuła, że jest jej dobrze. Zaskakująco dobrze. Dokończyli kolację w ciszy, która nie była ciężka i pełna napięcia, tylko kojąca, jak między dwojgiem przyjaciół.

- Może nie wiem zbyt wiele o wychowaniu dwulatków - odezwał się Santo, kiedy skończyli - ale zdaję sobie sprawę z tego, że lubią budzić rodziców bladym świtem, za nic mając ich zmęczenie i stres. O której Lucas zaczyna dzień?

- O szóstej. Jeśli mam szczęście - uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Najwyższy czas zatem, żebyś poszła do łóżka - zarządził. - O mnie się nie martw, prześpię się na kanapie. Wystarczy, jeżeli dasz mi jakiś koc.

Fia musiała przyznać, że Santo potrafił być ujmujący, troskliwy i serdeczny. Tym bardziej zasługiwał na jej uczciwość. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie zostanę twoją żoną - powiedziała i zdumiała się, słysząc smutek we własnym głosie.

Zobaczyła, jak uśmiech znika z jego twarzy. Rysy mu stwardniały, w oczach nie było już ciepła.

- Nasz syn będzie nosił nazwisko Ferrara - powiedział bardzo cicho. - Będzie miał matkę i ojca, żyjących w zgodnym małżeństwie. To są optymalne warunki dla rozwoju dziecka. Chyba nie zaprzeczysz.

- Zaprzeczę. - Wzięła się pod boki. - Szanuję twoje przekonania, ale Lucas nie będzie szczęśliwy tylko dlatego, że podpiszemy papierek w urzędzie stanu cywilnego. Dzieci nie są głupie, Santo. Nasz syn zorientuje się prędzej, niż myślisz, że jego rodzice są dwojgiem obcych sobie ludzi, których przypadek zmusił do zamieszkania pod jednym dachem. I ani go to nie uszczęśliwi, ani nie będzie dobre dla jego rozwoju.

- O to się nie martw, *tesoro*. - Santo odsłonił zęby w bardzo drapieżnym uśmiechu.  
- Bo nie będziemy dwojgiem obcych sobie ludzi, ale małżeństwem, w pełnym znaczeniu tego słowa. Będziemy sobie tak bliscy, jak tylko to po ludzku możliwe.

Zrobił krok w jej stronę, a ona cofnęła się odruchowo.

- Nie chcę żony, która będzie przede mną uciekać albo kryć się za murem milczenia - mówił cicho, ale w jego oczach płonął ogień. - Chcę kobiety, którą trzymałem w ramionach tamtej nocy, w starej szopie.

- Ale ja taka nie jestem! - zaprotestowała pobielającymi wargami. - Nie umiem taka być. Tamtej nocy... nie byłam sobą.

- Właśnie wtedy byłaś sobą. - Zrobił kolejny krok, a ona znów się cofnęła. - Tamtej nocy jeden, jedyny raz, odważyłaś się odrzucić zbroję, pod którą chronisz się przed światem, ukrywasz swoje uczucia i swoją hojną, zmysłową naturę. Radzę ci, zacznij się od tej zbroi odzwyczajając, bo w małżeństwie nosić jej nie będziesz.

Lucas zachichotał, pisnął, zaśmiał się głośno. Fia, wciąż jeszcze w półśnie, uśmiechnęła się z czułością. Kiedy chłopiec znowu wybuchnął śmiechem, poczuła nieprecyzowany niepokój. Coś było nie w porządku. Głos jej synka dobiegał z kuchni. A ona... leżała w łóżku!

Przeszyta niepokojem, oprzytomniała w jednej chwili i wyskoczyła spod kołdry. Lucas sam w kuchni... kto wie, co sobie znalazł do zabawy...? Nigdy jeszcze nie wyszedł sam z łóżeczka o wysokich szczebelkach. Ale powinna była przewidzieć, że pewnego dnia to się zdarzy.

Przerażona, z sercem łomocącym w gardle, pobiegła do kuchni. Przystąpiła próg i stanęła jak wryta.

Lucas siedział przy stole na swoim wysokim krzeselku, wpatrzony w Santa, który z kawałka maślanej bułki bardzo udatnie wycinał krowę. Niebawem miała ona dołączyć do menażerii znajdującej się już na talerzu przed chłopcem. Była tam świnka, różowa od truskawkowego dżemu, owca pokryta puszystym twarożkiem, a także pies w żółte łaty zrobione z kropli miodu. Fia obserwowała z autentyczną fascynacją, jak krowa także nabiera ciekawego umaszczenia zrobionego z masła i odrobiny nutelli.

Kiedy krowa z przeraźliwym muczeniem - głosu udzielił jej Santo - wpadła pomiędzy pozostałe zwierzęta, Lucas roześmiał się na cały głos i zachwycony spojrzął na ojca.

- Kjowa! Muuu!

Fia stała bez drgnienia, chłonąc scenę, która rozgrywała się w kuchni. Podobieństwo między wysokim mężczyzną i małym chłopcem chwyciło za serce. Byli jak dwie krople wody. Mieli takie same ciemne oczy o bystrym spojrzeniu. Ten sam, idealnie czarny odcień włosów. Tak samo marszczyli brwi i tak samo się uśmiechali. A w tym momencie obaj byli bez reszty zajęci zabawą.

Niezauważona, mogła przyglądać się do woli, jak Santo zajmuje się synkiem. I miała czas, żeby otrząsnąć się z szoku. Lucas nie znał ojca; spodziewała się, że ich pierwsze spotkanie będzie trudne. Wyobrażała sobie, że Santo będzie sztywny i oficjalny, a jego syn - onieśmielony. A może nawet wystraszony tak bardzo, że schowa się w matczyne ramiona i wybuchnie płaczem. Tymczasem obaj byli w jak najlepszej komitywie. Wyglądało na to, że Santo Ferrara jest zachwycony wspólnym śniadaniem nie mniej niż Lucas. Śmiał się serdecznie i szczerze, kiedy synek zagadywał go, zabawnie przekracając słowa. Cierpliwie i z niekłamanym entuzjazmem udawał głosy zwierząt, a potem odgrywał ich wędrówkę do buzi malca. Lucas jadł, aż mu się uszy trzęsły.

- Jesce kota! - zażądał, opróżniwszy talerz.

- Dobrze, ale najpierw wypij mleko. Bo kot przyjdzie i wszystko ci wychłepcze! - Santo zmierzwił ciemne włosy chłopca, które już i bez tego sterczały na wszystkie strony, pochylił się i pocałował go w pulchne, rumiane policzki, wydając zabawny dźwięk. Malec pisnął i złapał ojca za włosy paluszkami lepkiemi od miodu. Ten uśmiechnął się szeroko, widocznie rozanielony pieścizną, i pocałował synka jeszcze raz, i jeszcze, jakby nie mógł się nacieszyć jego rozchichotaną, żywą bliskością.

Fia poczuła nagle, że pod jej powiekami wzbierają piekące łzy. Ona nie miała pojęcia, jak to jest czuć się bezpiecznie w obecności własnego ojca. Przez całe dzieciństwo ani razu nie przyszło jej do głowy, że mężczyzna, którego nazywała tatą, mógłby się z nią pobawić czy okazać serdeczność jakimkolwiek gestem. Chwile, kiedy traktował ją

jak powietrze, uważała za wyjątkowo szczęśliwe. Bo wiedziała, że może być gorzej. O wiele gorzej.

- Kot! - Lucas ponaglił swojego tatę, waląc go z rozmachem rączką w goły biceps.

- Dobrze. Pręgowany? - upewnił się tamten, marszcząc brwi w skupieniu, jakby umaszczenie kota było najważniejszą rzeczą na świecie.

- Pługowany.

Dwie ciemne głowy pochyliły się nad stołem, mężczyzna i chłopiec zamilkli, bez reszty pochłonięci pracą twórczą.

Fia walczyła ze łzami.

Nawet jeśli byłaby najlepszą matką świata, sama nie zdoła zapewnić Lucasowi tego, czym w tej chwili wyraźnie się rozkoszował - kontaktu z czułym, kochającym ojcem. Zdawała sobie sprawę aż za dobrze, że krótkie spacerunki w towarzystwie pradziadka czy chwile zabawy z Franceskiem są zupełnie niewystarczającą namiastką. Giuseppe i przed zawałem miał o wiele za mało sił, żeby móc dotrzymać kroku kipiącemu energią dwulatki. Zaś Francesco miał swoje życie. Prędzej czy później zostaną sami - ona i Lucas. A przecież chłopiec mógłby mieć pełną rodzinę. Gdyby tylko jego matka przyjęła oświadczenia jego ojca...

Popatrzyła spod zmarszczonych brwi na kandydata do swojej ręki. Włosy miał wilgotne; widocznie, zanim dziecko się obudziło, zdążył skorzystać z prysznic. Ale ubrać się do końca już nie zdążył. Naprędce wciągnięte i nie do końca zapięte spodnie ukazywały brzuch niemalże po ciemną granicę łona. Tors miał nagi, upakowany twarożkiem i dżemem. Fia była pewna, że każdy inny mężczyzna na jego miejscu wyglądałby po prostu śmiesznie. Santo Ferrara wyglądał bosko. Zapatrzyła się na jego rozłożyste barki, na szeroką, pięknie umięśnioną klatkę piersiową, na idealnie wyrzeźbiony brzuch... i westchnęła, bezwiednie rozchylając wargi.

- *Mamma!* - Lucas musiał ją usłyszeć, bo podniósł głowę i natychmiast zaczął wiercić się na krzeselku.

Santo podniósł go i postawił na ziemi, a malec puścił się ku niej pędem, machając kanapką w kształcie kota o wspaniałych pręgach wymalowanych masłem orzechowym. Spojrzenia dorosłych spotkały się ponad głową biegnącego dziecka.

- *Buongiorno*. - Santo uśmiechnął się do niej ciepło, swobodnie. Zupełnie, jakby co rano witał ją, rozczochraną i ubraną w zieloną, flanelową piżamę, w progu wspólnej kuchni. - Napijesz się kawy?

Skinęła głową, choć miała świadomość, że sytuacja jest absurdalna. Znajdowali się w jej domu, w jej kuchni. Santo był tu gościem, a zachowywał się jak gospodarz. I musiała przyznać, że radził sobie znakomicie. Sięgnął po kubek, pochylił się, żeby nalać kawy ze stojącego na kuchence staroświeckiego ekspresu. Widok jego mocnych, gładkich pleców spłynął dreszczem wzdłuż jej kręgosłupa, zamrowił w opuszkach palców. Pamiętała... jej palce pamiętały instynktownie miękkość jego gładkiej skóry, kształty wyraźnie wyczuwalnych pod nią prężnych mięśni. Tamtej nocy, gdy wtargnął w nią, gdy przedarł się przez delikatną powłokę skrywającą jej dziewczęcą samotność i wypełnił ją swoją siłą, wbiła paznokcie w jego plecy. Mocno. Z całą mocą pragnienia, które w niej obudził. Aż do krwi.

- Fia?

- Tak...? - Zamrugła.

- Pytałem, po jakiemu mówisz do Lucasa. Po włosku czy po angielsku?

- Najczęściej po angielsku - odpowiedziała szybko, przestępując z nogi na nogę. Głos miała lekko schrypnięty. - Ale dziadek mówi do niego po włosku. Lucas rozumie oba języki.

- Jest szalenie bystry. - W głosie Santa brzmiała nieskrywana duma. - Zrobimy tak: ja będę rozmawiał z nim po włosku, a ty po angielsku, i ani się obejrzymy, a będziemy mieli dwujęzyczne dziecko. To spory atut w dzisiejszych czasach.

Z ociąganiem podeszła do stołu i wzięła z jego rąk parujący kubek. Zabieliła kawę mlekiem i dodała łyżkę miodu. Zaczęła mieszać i urwała raptownie, kiedy stary drewniany zegar z kurantem wybił ósmą.

- O mój Boże! - jęknęła. - Zaspałam. Już dawno powinnam była...

- Powinnaś była chociaż trochę wypocząć - wpadł jej w słowo. - Dlatego postanowiliśmy z Lucasem, że nie będziemy cię budzić. Prawda, zuchu? Zachowywaliśmy się cicho, żeby nie budzić mamy?

- Nie budzić mamy! - Pokiwał głową malec, wyraźnie z siebie dumny.



- Muszę zadzwonić do szpitala. - Podniosła się i opadła z powrotem na krzesło, kiedy położył rękę na jej dłoni płynnym, zdecydowanym gestem, jakby uspokajał spłoszone zwierzę.

- Już dzwoniłem. Giuseppe spędził spokojną noc. Nie budzili go, więc pewnie wciąż jeszcze śpi. Obchód będzie o dziewiątej, zaraz potem porozmawiamy z lekarzem prowadzącym.

Porozmawiamy?

- Santo, jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc, ale naprawdę wolałabym pojechać sama.

- Oczywiście, że byś wolała. - Spojrzał na nią przeciągle. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w jego wzroku widzi kpinę. - Wszystko wolisz robić sama, prawda? I nigdy się nie nauczysz, że można inaczej, jeżeli nie poćwiczysz. Zatem dzisiaj odbędziemy pierwszy trening. Pojedziemy do szpitala razem. Powtórz za mną: razem.

Fia uśmiechnęła się krzywo i wypła łyk kawy.

- Nie chcę zabierać Lucasa do szpitala - powiedziała niechętnie. - Mam nadzieję, że Gina będzie mogła przyjść wcześniej, żeby się nim zająć.

- Nie ma takiej potrzeby - zaczął i w tym momencie zadźwięczał dzwonek do drzwi.

Zdumiona spojrzała w stronę drzwi wejściowych. Nikogo się nie spodziewała, a już na pewno nie o tej porze. Wstała, odruchowo przeczesła włosy palcami i zlustrowała swój strój - szerokie spodnie z nogawkami podwiniętymi do kolan i zabawną, o wiele zbyt obszerną górę. Wyraźnie, była w rozterce. Nie miała zwyczaju przyjmować niezapowiedzianych gości, ubrana w piżamę.

- Ja otworzę. - Santo ruszył do drzwi tak szybko, że nie zdążyła zaprotestować.

Usiadła więc z powrotem przy stole i podwinęła nogi. Niech się dzieje, co chce, pomyślała buntowniczo, pijąc kolejny łyk kawy.

Lucas dzwonkiem do drzwi nie przejął się ani trochę. Najedzony i zadowolony, siedział na dywanie i bawił się drewnianą ciężarówką.

- *Ciao*, Santo! - rozległ się melodyjny damski głos.

Fia zacisnęła palce na kubku, żałując, że nie może schować się za nim cała, żeby obserwować rozwój sytuacji. A zapowiadał się on co najmniej interesująco. W drzwiach pojawiła się czarnowłosa piękność o figurze Moniki Bellucci i z miejsca padła Santowi w objęcia, wyciskając na jego policzku soczystego całusa. On zaś, zupełnie nie przejmując się tym, że jest półnagi, chwycił ją w pól i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Fia poczuła, że nie potrzebuje już kawy, żeby odpędzić senność. Jej ciśnienie właśnie gwałtownie podskoczyło. Tymczasem nowo przybyła odsunęła się od Santa na odległość wyprostowanych ramion, zmrużyła ciemne oczy i przechyliła głowę. Jedwabiste, czarne jak atrament włosy spłynęły miękką falą z jej pleców.

- Moje gratulacje - wymruczała jak kotka. - Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć... ten twój największy sukces.

- *Ciao, bellissima.* - Santo nie przestawał się uśmiechać.

Fia była boleśnie świadoma faktu, że jego ramię wciąż obejmuje talię zjawiskowej brunetki. Kiedy zaprosił ją do środka, zebrała się w sobie, gotowa do ataku. To był jej dom, jej syn, jej... nieważne. Nie miała zamiaru tolerować innej kobiety, zapewne jednej z kochanek Santa, na swoim terytorium.

W tym samym momencie czarnowłosa piękność dostrzegła ją - przyczajoną za stołem drobną postać, łypiącą nieufnie spod strzechy rudych loków. Ciemne oczy w kształcie migdałów rozbliły niekłamana serdecznością i w następnej chwili zdumiona Fia utonęła w miękkich, ciepłych objęciach.

- Witaj, kochana. - Nieznajoma z uczuciem przycisnęła ją do wydatnego biustu.

Fia zeszywniała. Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć.

Czarnowłosa nie przejęła się ani trochę chłodem gospodyni. Okręciła się na pięcie, aż czerwona spódnica zafurkotała wokół jej zgrabnych nóg, po czym padła na kolana tuż obok zajętego zabawą chłopca. Spojrzała i uniosła dłonie do drżących ust, a z jej oczu popłynęły łzy nagłego, potężnego wzruszenia. Trwała tak chwilę, wpatrując się w malca, po czym wydała z siebie cienki pisk, jak fanka na widok uwielbianego idola. Chwyciła go na ręce i zaczęła tańczyć po pokoju.

Fia wstała powoli i na sztywnych nogach wyszła z za stołu. Co z tego, że była cywilizowaną Europejką, żyjącą w dwudziestym pierwszym wieku? W tym momencie

czuła się jak rozdrażniona wilczyca. Nie potrafiła zjeżyć sierści na grzbiecie, ale była gotowa rzucić się na intruzkę z pazurami.

- Dziękuję, że przyszaś. - Santo przyglądał się harcom czarnowłosej piękności z wyraźnym rozbawieniem, zupełnie nieświadom grożącego jej niebezpieczeństwa.

- Dla ciebie wszystko - uśmiechnęła się tamta rozkosznie, a potem pocałowała Lucasa w czubek głowy.

Fia zacisnęła zęby, ale nie udało jej się stłumić głuchego warknięcia. Patrzyła spod przymrużonych powiek, jak intruzka odstawia wierzgającego z radości chłopca na podłogę i swobodnym gestem wiesza torebkę na oparciu krzesła, jakby była u siebie w domu.

- Strasznie mi przykro z powodu twojego dziadka - zwróciła się do Fii, całkowicie ignorując jej groźną minę. - Wyobrażam sobie, że musisz być chora ze stresu, ale bądź pewna, że Giuseppe jest w dobrych rękach. Ten szpital ma znakomitą opinię. Ja, co prawda, zupełnie się nie znam na chorobach serca, ale za to mam bardzo dobrą rękę do dzieci; możecie śmiało zostawić mi Lucasa. Nie mogę się doczekać, aż wreszcie poznam lepiej Ferrarę juniora!

Jej głos wibrował życzliwością, ale w uszach Fii brzmiał jak zgrzyt żelaza po szkłe.

Wara od mojego dziecka - miała ochotę warknąć. - I od mojego mężczyzny!

- Przepraszam bardzo - powiedziała lodowato, zasłaniając Lucasa - ale jest absolutnie wykluczone, żebym oddała moje dziecko pod opiekę osobie, której nie znam. I która nawet się nie przedstawiła, wchodząc do mojego domu.

Czarnowłosa spojrzała na nią z autentycznym zdumieniem, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Faktycznie, gapa ze mnie. Ale byłam pewna, że mnie pamiętasz; jestem Daniela, rodzona siostra tego tu jegomościa. - Wskazała na Santa. - Przepraszam cię najmocniej. Po prostu przyszaś, żeby pomóc. Z przyjemnością zajmę się Lucasem. Moja Rosa wychodzi ze skóry, tak bardzo chce poznać kuzyna. Zanosz się na cały dzień szalonej zabawy.

Fia nabrała tchu, ale Daniela nie dała jej dojść do słowa.

- Oczywiście, nie chcesz zostawić mi dziecka - podsunęła. - Wiem, bo ja na twoim miejscu też bym nie chciała. Ale myślę, że Santo za mnie poręczy. A Lucas o wiele przyjemniej spędzi czas z nami niż w szpitalnej poczekalni. Absolutnie się nie przejmujcie, macie cały dzień dla siebie. Możecie spędzić w szpitalu tyle czasu, ile będzie trzeba, a potem zróbcie razem coś przyjemnego, wszystko jedno co. Pójdźcie na spacer albo na kolację. Nie spieszcie się. I koniecznie zadbajcie o romantyczny nastrój!

- Dani, na miłość Boską! Zamierzasz pobić rekord Guinnessa w liczbie słów wypowiedzianych na jednym oddechu? - Santo uniósł ręce ku niebu. - Nie wiem, jak Raimondo z tobą wytrzymuje. Ja słucham cię od dwóch minut i już mam ochotę cię udusić.

- O Raimonda się nie martw. - Daniela zmrużyła swoje kocie oczy, po czym podeszła do Fii i ujęła ją za ręce. - Nie daj się tyranizować mojemu bratu, kochana. Niech uważa się za głowę rodziny, jego prawo, ale ty pamiętaj, że to szyja kręci głową! Nie możesz pozwolić, żeby jego groźne miny zrobiły na tobie wrażenie.

Fia, mimo ogromnego wysiłku, nie wymyśliła żadnej sensownej odpowiedzi. Milczała więc, boleśnie świadoma swojej wyjątkowo niemądrej miny. Czy rzeczywiście przed chwilą była dziko zazdrosna o Santa Ferrarę? Czy rzeczywiście chciała rzucić się do gardła kobiecie, którą wzięła za jego kochankę? Teraz, kiedy wiedziała, że ma przed sobą jego siostrę, zastanawiała się, jakim cudem mogła jej nie rozpoznać. Kilka lat temu oglądała przecież w jakimś kolorowym piśmie zdjęcia z jej bajkowego ślubu. Przeszła z nogi na nogę. Nie miała pojęcia, jak wybrnąć z tej okropnie niezręcznej sytuacji.

Daniela jednak nie uznawała czegoś takiego jak niezręczne sytuacje. W najmniejszym stopniu niespeszona kucnęła obok Lucasa i zaczęła się z nim bawić z taką swobodą, jakby robiła to codziennie. Kiedy malec, pchając drewnianą ciężarówkę i z zapalem udając warkot motoru, ruszył slalomem między meblami, uniosła głowę i uśmiechnęła się do Fii.

- Pozwól mi zająć się nim do wieczora - powiedziała miękko. - Mamy dom niedaleko stąd, z ogrodem, który Raimondo przekształcił w jeden wielki plac zabaw, kiedy na świat przysłała nasza Rosa. Zaręczam ci, że Lucas nie będzie się nudził nawet przez sekundę. A wy skorzystajcie z wolnej chwili, żeby zacząć planować przygotowania do ślubu. Tylko, Santo, pamiętaj, że każda kobieta chce w dniu swojego ślubu wyglądać

zjawiskowo, nawet jeżeli ma go wziąć w pośpiechu. Zabierz Fię na zakupy. Albo lepiej daj mi swoją kartę kredytową, a ja cię wyręczę, nawet jutro. Wiem, że nienawidzisz chodzić po sklepach.

Santo wbił ręce w kieszenie ruchem pełnym frustracji.

- Dani, jestem ci wdzięczny, że zechciałaś przyjechać, żeby poznać Fię i zająć się Lucasem - wycedził. - Ale nie życzę sobie, żebyś wtykała nos w nie swoje sprawy.

Fia zeszywniała, słysząc jego lodowaty ton, ale Daniela zbyła reprimendę machnięciem ręki.

- Daj spokój, braciszku. Może i robicie wszystko w odwrotnej kolejności niż ta tradycyjnie przyjęta, ale - uniosła brwi, posłała wymowne spojrzenie w stronę wciąż zajętego zabawą chłopca - efektów naprawdę nie musicie się wstydzić. Wasz ślub powinien być romantyczny. Założę się, że Fia o takim marzy.

Fia poczuła, że robi jej się gorąco. Nie musiała patrzeć do lustra, żeby wiedzieć, że jest czerwona jak burak.

Piętnaście minut później ubrany, zaopatrzony we wszystko, czego może potrzebować dwuletni chłopiec nie w ciągu jednego dnia, ale chyba całego tygodnia zabawy, i wycelowany na do widzenia przez mamę, Lucas odjechał z „nową ciocią”, podekscytowany perspektywą poznania kuzynki, a jeszcze bardziej - obietnicą zabawy w baseniku ze zjeżdżalnią. Fia odprowadziła wzrokiem żółty rodzinny samochód Daniela i z westchnieniem zanurzyła dłonie we włosach. Jej życie nabrało tempa, do jakiego nie była przyzwyczajona. Czy miało na dobre wymknąć jej się z rąk? Czy Ferrarowie przejmą nad nim całkowitą kontrolę? Wysiłkiem woli stłumiła ogarniający ją niepokój. Tłumaczyła sobie, że nie ma się czego bać. Santo był zyczliwy i pomocny, jego siostra - ujmująco serdeczna. Zaś najważniejsza decyzja należała do niej, Fiammetty Baracchi. Była gotowa ją podjąć, dobrowolnie i z pełną odpowiedzialnością za konsekwencje.

- Wiem, że Dani cię zaskoczyła. - Santo zapinał koszulę. - Przepraszam, wyszło niezręcznie. Ale cieszę się, że pozwoliłaś jej zająć się Lucasem, bo my dwoje musimy porozmawiać. Poważnie.

Fia pomyślała przelotnie, że wolałaby nie odbywać tej poważnej rozmowy w sieni własnego domu, potargana i ubrana w piżamę. A potem przypomniała sobie, jak Santo

przytulał i całował synka. Jak bawił się z nim, doprowadzając go do radosnych pisków i wybuchów śmiechu. Pokręciła głową. Jakie znaczenie miały detale? To była jedyna rzecz, która się liczyła.

- Możesz milczeć, możesz kręcić głową, ile chcesz - natarł na nią Santo, który najwyraźniej błędnie zinterpretował jej zachowanie. - Możesz mówić mi „nie” na tysiąc sposobów, nie zniechęci mnie to. Bo wiem, że w głębi duszy zdajesz sobie sprawę, co powinnaś powiedzieć. I w końcu wydobędę to z ciebie...

Podeszła do niego blisko, tak blisko, że zamilkł raptownie. Spojrzała w jego ciemne oczy, w których lśniła czysta determinacja.

- Nie zamierzam powiedzieć „nie” - oświadczyła spokojnie.

- *Scusi?* - wyrwało mu się.

- Nie zamierzam powiedzieć „nie” - powtórzyła. Była dojmująco, niemal boleśnie świadoma wagi wypowiedzianych słów. - Przyznaję ci rację. Nieważne, jakie są nasze osobiste uczucia względem siebie nawzajem; małżeństwo jest najlepszym wyjściem. Dla dziecka.

Nie odpowiedział od razu. Wciąż w niego wpatrzona, poczuła, jak unieruchamia jej ramiona w mocnym uścisku swoich dużych dłoni. Zabrakło jej tchu. Rzeczywistość zbladła, przestała istnieć, zagłuszona szumem krwi w jej skroniach, przesłonięta mgłą gorączkowego pożądania. Jej świat wypełniła bliskość tego mężczyzny, bijące od niego ciepło, zmysłowy, korzenny zapach jego nagiej skóry. Zapomniała o Budce Ratownika, w której zapewne już czekali na szefową. Zapomniała o dziadku leżącym w szpitalu, zapomniała nawet o tym, by niepokoić się przebiegiem pierwszej wizyty Lucasa u swoich nieznanymi jeszcze krewnych. Liczył się tylko on, jego niesamowite, ciemne oczy, jego piękna, męska twarz, której widok budził w niej dreszcze zachwyty. Spuściła oczy. Santo zaproponował jej małżeństwo jako czysty układ, zawarty z rozsądku. I tego powinna się trzymać; głupie nadzieje były zupełnie nie na miejscu.

- Zamierzasz zgodzić się na małżeństwo ze względu na dobro dziecka? - Santo cofnął się o krok.

- Tak - odrzekła, nie podnosząc wzroku.

- Świetnie. - W jego głosie nie było radości, tylko ogromne napięcie. - Musisz więc porzucić pozę męczennicy. Jak sama mówiłaś, dzieci nie są głupie. Jeżeli będziesz zamykać się w sobie i okazywać swoim zachowaniem, jak bardzo ci jest trudno znieść moją obecność, Lucas nie będzie szczęśliwy. Jeżeli w ogóle mamy być małżeństwem, musimy być dobrym małżeństwem. Nie będziemy żyć obok siebie, bo tak każe konwenans. Zrobimy wszystko, żeby się poznać, nauczyć się siebie nawzajem, zaufać sobie. I zrobimy to dobrze. Zgadzasz się, Fiammetto?

- Zgadzam się - powiedziała. - Zrobimy to dobrze.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W ciągu kolejnych dni rozpętało się istne szaleństwo. Fia miała wrażenie, że wsadzono ją na karuzelę, która kręciła się coraz szybciej i szybciej, napędzana pieniędzmi, autorytetem i energią rodziny Ferrara. Giuseppe opuścił szpital; Santo nalegał, że zorganizuje dla niego całodobową opiekę medyczną w domu. Fia nie oponowała, wiedziała, że dziadek poczuje się lepiej, gdy tylko zamieszka znowu u siebie. I rzeczywiście, starszy pan wracał do zdrowia z zadziwiającą szybkością, wyraźnie zdeterminowany, żeby osobiście odprowadzić wnuczkę do ołtarza, a potem - czemu nie? - zatańczyć na jej weselu.

Przygotowania do ślubu i wesela szły pełną parą. Santo postanowił, że uroczystości odbędą się w wyremontowanym na tę okazję starym nadmorskim hotelu Ferrara Beach Club. Fia i przeciw temu nie zamierzała oponować, przekonana, że rozpędzonej karuzeli i tak nie zatrzyma. Sama miała tylko dwa życzenia - żeby ślub odbył się w starej kamiennej kaplicy stojącej w gaju oliwnym na jednym ze wzgórz wznoszących się nad morskim brzegiem, bo marzyła o tym od dzieciństwa. I żeby wesele było skromne. Sama zamierzała zaprosić Ginę i Francesca, a jej rodzina składała się z dwóch osób - dziadka i Lucasa. Wiedziała, że Santo bez najmniejszego problemu mógłby zgromadzić dwustu gości. Miała nadzieję, że ze względu na nią spróbuje ograniczyć listę do jakichś pięćdziesięciu osób, z których większości i tak nie będzie znała. Póki co, dzieliła swój czas, jak zawsze, pomiędzy opiekę nad Lucasem i Budkę Ratownika. Ale nie wszystko było tak samo jak zawsze. Santo, który osobiście nadzorował remont hotelu, codziennie w

przerwie na lunch zjawiał się w Budce Ratownika i spędzał godzinę albo dłużej, bawiąc się z Lucasem. Chłopiec oswoił się z nim całkowicie; nie minęły dwa tygodnie, a już z całą swobodą nazywał go tatą i zdawał się w ogóle nie pamiętać czasów, kiedy Santo Ferrara nie stanowił stałego elementu w jego życiu.

- Mamo, kiedy wreszcie zamieszkamy razem, ja, ty i tata? - pytał Fię z częstotliwością i uporem właściwym dwulatkom.

- Niedługo - odpowiadała niezmiennie. Sama daleka była od entuzjazmu, który okazywał synek.

Perspektywa zamieszkania z Santem napawała ją lękiem. Miała zostać żoną człowieka, którego właściwie nie знаła i który wiódł życie skrajnie różne od niej. Był prezesem międzynarodowej firmy i milionerem, z samego tylko przyzwyczajenia otaczał się luksusem, który ona dotąd widziała tylko w filmach. Czy ona, dziewczyna z marginesu, będzie potrafiła wcielić się w rolę małżonki pana Ferrary? Wątpliwe. Co gorzej, wyglądało na to, że Santo miał podobne wątpliwości.

Odkąd zgodziła się na małżeństwo, miała wrażenie, że wbrew swoim wcześniejszym deklaracjom unika jej. Owszem, ze szczerą radością zajmował się Lucasem i okazywał troskę o zdrowie Giuseppe. Rzeczowo informował ją o postępach prac i raportował z dumą, że ślub odbędzie się bez przeszkód w zaplanowanym terminie. Ale nie szukał jej towarzystwa. Wieczorami wychodziła na molo przed domem i patrzyła przez ciemne wody zatoki ku ziemi Ferrarów. Tęskniła. Gdyby jej myśli mogły go przywołać, zjawiłby się u niej tak prędko, jak tylko pozwoliłby na to potężny silnik jego lamborghini. A potem wzięłby ją w ramiona. Wszelkie rozmowy odłożyliby na później. Na dużo później...

On jednak najwyraźniej jej tęsknoty nie podzielał. Czekala na próżno.

Gdy nadszedł dzień ślubu, umierała z tremy. Od świtu nie mogła sobie znaleźć miejsca. Ręce się jej trzęsły, kiedy robiła śniadanie dla synka. Omal nie wylała mleka z miodem, które niosła dziadkowi do łóżka. Sama nie była w stanie nawet przełknąć porannej kawy, dopóki nie przyszły Gina i Daniela. Blondynka i brunetka, które zdążyły się już poznać i serdecznie zaprzyjaźnić, stanowiły zgrany duet o energii szalejącego torna-da.



- Coś ty taka blada? Założę się, że nic nie jadłaś - rzuciła Gina od drzwi.

Fia zdołała tylko pokręcić głową.

- Owsianka - zdecydowała Daniela tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Zaraz ci przygotuję taką z rodzynkami. Jest lekkostrawna, pomoże na twój ściśnięty żołądek. No i pożywna. Nie chcesz chyba, żeby podczas ceremonii wszyscy usłyszeli, jak ci burczy w brzuchu?

Fia miała na tyle rozsądku, żeby od razu ogłosić kapitulację wobec przeważających sił przeciwnika. Zjadła owsiankę. Popiła herbatą. Nie okazała nadmiernego zdziwienia, kiedy przyjaciółki zaprowadziły ją do łazienki i kazały się rozebrać, po czym wmasowały jej we włosy jakąś zieloną maź.

- To maseczka z liści aloesu - wyjaśniła Gina. - Twoje włosy będą lśniące, ich skręt miękki i sprężysty. Potrzymasz ją na włosach pół godziny, a my tymczasem zrobimy ci peeling, żebyś olśniła wszystkich urodą. Usiądź wygodnie, zamknij oczy i rozkoszuj się chwilą. Daniela przygotowała jakąś naprawdę czarodziejską miksturę.

W łazience zapachniało mieloną kawą, cynamonem i imbirem. Fia odchyliła głowę na oparcie wiklinowego fotela i uśmiechnęła się. Za kilka godzin miała zostać żoną mężczyzny, który wymógł jej zgodę na ślub po to tylko, żeby potem przestać ją zauważać. Nie okazał jej nawet cienia cieplejszego uczucia od chwili, gdy powiedziała mu „tak”. Nie wiedziała, czego się po niej spodziewał, i czoła się tak, jakby miała nie tyle wstąpić w związek małżeński, co wejść na pole minowe. Bardzo prawdopodobne, że jej życie zmierzało ku katastrofie. Ale jedna rzecz w tym wszystkim była na pewno stuprocentowo pozytywna - przyjaźń. W ciągu ostatnich tygodni przeżyła z Giną i Danielą wiele szalonych, beztroskich chwil. Pomagały jej wybrać suknię ślubną, razem układały weselne menu. Daniela uwielbiała opowiadać anegdotki o rodzinie, a Fia, słuchając ich, miała poczucie, że coraz lepiej zna Ferrarów. Przyjaciółki były przy niej, kiedy ich potrzebowała. Wierzyły w nią. Życie, w sumie, było naprawdę piękne. Mimo wszystko.

Kiedy wybiło południe, Fia, wsparta na ramieniu dumnie wyprostowanego Giuseppe, wchodziła po kamiennych schodkach starej nadmorskiej kaplicy, która pamiętała jeszcze czasy sprzed waśni dwóch rodów zamieszkujących tutejszą ziemię. Legenda głosiła, że Baracchi i Ferrara zbudowali ją wspólnym wysiłkiem. Teraz, pod łukowo zwień-

czonym sklepieniem, we wnętrzu, gdzie jasny kamień i światło słoneczne prowadziły poetki, ponadczasowy dialog, Baracchi i Ferrara mieli wymienić przysięgę małżeńską.

On czekał na nią: wysoka, ciemna postać u stóp ołtarza przystrojonego bukietami białych róż i smukłych gladiolusów w tej samej barwie. Ona szła ku niemu, jasna, świetlista, z włosami splecionymi na skroniach w misterną koronę i spływającymi na plecy ognistą burzą loków ujarzmionych szeroką wstążką w odcieniu matowego srebra. Taki sam był kolor jej sukni - prostej, długiej do kostek i pozbawionej rękawów, uszytej ze zwiewnego, prawie przezroczystego materiału mieniącego się haftem w zawile roślinne wzory. Jej szare oczy zdawały się świecić własnym światłem.

Santo, olśniony, miał ochotę paść przed nią na kolana. I może by to zrobił, gdyby nie pojawił się ksiądz, stary przyjaciel rodziny Ferrarów, gotów pobłogosławić młodą parę. Fia dotarła przed ołtarz, eskortowana przez Daniełę, Ginę i przybyłą w ostatniej chwili Laurel, żonę Cristiana Ferrary. Santowi towarzyszył Cristiano oraz niebywale przejęty Lucas, który zdołał wytrwać na swoim honorowym miejscu przez całe trzy minuty uroczystości. Potem, odprowadzony rozbawionymi spojrzeniami dorosłych, dołączył do swoich kuzynek, żeby, wydając dzikie piski, biegać między ławkami.

Santo wypowiedział przysięgę małżeńską głosem mocnym jak spiż, nie spuszczając oczu ze swojej panny młodej. Odpowiedziała mu dźwięcznie i pewnie. W duchu powtarzała sobie, że biorą ślub z miłości - może nie żywili jej do siebie nawzajem, ale oboje kochali Lucasa. Wierzyła - musiała wierzyć - że ta miłość pomoże im przezwyciężyć obcość i zbudować trwałą relację.

- Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela - ogłosił ksiądz uroczystie.

Fia spojrzała na pędzącego przez główną nawę Lucasa. Istotnie, ona i Santo byli połączeni na zawsze w osobie tego małego chłopca. Ślub niczego nie zmieniał, potwierdzał tylko stan faktyczny.

Po ceremonii przyszła kolej na życzenia Starsza pani Ferrara przytuliła synową do piersi.

- Nareszcie - powiedziała przez łzy. - Witaj w rodzinie, kochana.

Danieła wycalowała Fię w oba policzki, uważając, żeby nie zrujnować makijażu, który własnoręcznie zrobiła jej dwie godziny wcześniej. Laurel krzepko uściśnęła jej

dłoń, a Cristiano, wyraźnie wzruszony, gratulował młodej parze wspaniałego syna. Nikt nie patrzył na nią jak na podejrzaną parweniuszkę pochodzącą z marginesu. Przeciwnie. Otoczono ją bezwarunkową miłością i akceptacją. Choć prowadziła tylko małą restaurację, a nie międzynarodową sieć hoteli, w wielu oczach dostrzegała szacunek, a nawet podziw.

To byłaby niewiarygodnie piękna chwila w jej życiu. Idealnie piękna - gdyby nie jedna rzecz. Santo unikał jej wzroku. Odkąd wypowiedzieli przysięgę małżeńską, nie spojrzał na nią ani razu. Nawet uroczysty pocałunek, który złożył na jej lekko rozchyłonych ustach, był chłodny.

Tak chłodny, że Fia wciąż czuła przenikające ją lodowate zimno. Nie pomógł toast niewiarygodnie drogim szampanem ani pierwszy taniec, podczas którego Santo trzymał ją w mocnym uścisku, ale patrzył w dal ponad jej ramieniem. Na szczęście fotografowie i dziennikarze, którzy pojawili się, zwabieni wiadomością o ślubie w rodzinie Ferrarów, strzeliwszy kilka fotek młodej parze, skupili całą uwagę na Giuseppe Baracchini i Cristianie Ferrarze, seniorach rodów skłóconych od ponad wieku. Flesze błyskały gęsto, kiedy Giuseppe i Cristiano ściskali sobie prawice, oficjalnie ogłaszając zakończenie waśni. Wzniesiono toast za pomyślność połączonych rodzin i Giuseppe poprosił o mikrofon.

- *Bella gerant alii, tu, felix Austria, nube.* Dzięki mojej ukochanej wnuczce, Fiammetcie, mogłem się przekonać, ile mądrości tkwi w tej słynnej dewizie Habsburgów. Istotnie, śluby są dużo przyjemniejsze niż wojny... - Głośne brawa obwieściły, że wszyscy zebrani uważają podobnie. Starszy pan skłonił się, zachwycony aplauzem. - I dużo bardziej zyskowne - kontynuował. - Mój antypatyczny przodek podstępem wydarł Ferrarom piękną zatokę, którą możecie dostrzec na północnym zachodzie. I co zyskał? Opinię złośliwca i awanturnika, którą przekazał nam w spadku. Że niektórzy z nas, Baracchich, zasłużyli na nią w pełni, to inna sprawa. Dzisiaj jednak chciałbym, żeby o niej na zawsze zapomniano. Dlatego przekazuję tę ziemię w prezencie ślubnym Fiammetcie i Santowi Ferrarom. Oddaję to, co zabrał mój przodek, ale proszę nie posądzać mnie o bezinteresowność! Bo spodziewam się, że zyskam o wiele więcej niż mój przodek. Ziemia będzie należeć do Ferrarów, więc sprawiedliwości stanie się zadość. Ale po tej ziemi będą biegać moje prawnuki! Bo patrząc dziś na Fiammettę i Santa, nie wątpię, że Lucas

niebawem doczeka się siostrzyczki albo braciszka. Kochani, bądźcie szczęśliwi i zaludniajcie tę piękną ziemię potomkami Baracchich i Ferrarów. Chyba wszyscy się ze mną zgodzą, że trudno o lepszą kombinację genów.

Ostatnie słowa utonęły w burzy oklasków. Giuseppe promieniał. Fia zerknęła spod rzęs na mężczyznę, który od kilku godzin był jej mężem, lecz wydawał jej się bardziej obcy niż kiedykolwiek przedtem. I zdumiała się, kiedy ten nie odwrócił wzroku, jak to robił za każdym razem, odkąd wobec Boga i ludzi została jego żoną.

- Lucas bawi się z kuzynkami, Daniela i Laurel obiecały, że przypilnują dzieciaki i położą je spać - powiedział, pochylając się ku niej i biorąc ją za rękę. - A goście wydają się zadowoleni z imprezy. Czy mógłbym cię na chwilę stąd zabrać? Mam ci coś do pokazania.

Fia spojrzała na parkiet, gdzie Gina i Francesco, zapatrzeni w siebie z pełnym zachwytem zdumieniem, tańczyli w rytm rozkołysanej, romantycznej melodii. Giuseppe za nic mając polecenia lekarzy, palił fajkę i opowiadał coś ze swadą jednej z owdowiałych ciotek z rodziny pana młodego. Na trawniku poniżej hotelowego tarasu gromada dzieci goniła wielką kolorową piłkę.

Goście, w rzeczy samej, bawili się znakomicie. Poszła więc bez protestów za swoim mężem, który nie wypuszczał jej dłoni z mocnego uścisku. Prowadził ją zwirową alejką ku plaży. Milczał. W miarę jak szli, weselna muzyka milkła w oddali, a szum morza przybierał na sile. Wreszcie stanęli... przed starą szopą na łodzie. Fia aż westchnęła ze zdumienia.

Jej ulubiona kryjówka z czasów dzieciństwa, miejsce, w którym ścieżka jej życia skrzyżowała się i nierozzerwalnie splotła ze ścieżką Santa Ferrary, była odmieniona prawie nie do poznania. Zmurszałe deski zastąpiono nowymi, pociągniętymi bejcą na piękny, ciepły kolor. Nie było już ziejących pustką otworów okiennych z wyłamanyymi ościeżnicami, tylko panoramiczne okna. Duże gładkie szyby odbijały ciemny błękit morza. Ze starej szopy została tylko konstrukcja - tradycyjny, rozpoznawalny kształt. Dach wymieniono także. Szerokie drewniane schody prowadziły do drzwi, które Santo otworzył na oścież przed Fią.

- Dlaczego? - spytała bez tchu, ściskając mocniej jego dłoń.

Wnętrze oświetlało łagodne, pełgające światło świec ustawionych na podłodze w szklanych kloszach. Tam, gdzie przed trzema laty kochali się, leżąc na piasku nanie-sionym wiatrem na zmurszałe deski, teraz stało szerokie łóżo przykryte białą satynową pościelą. Wszystkie kwiaty, jakie dostali od weselnych gości, zgromadzono tutaj; two-rzyły kolorowy, wonny kobierzec wokół łóża, które było jedynym meblem w pomiesz-czeniu. Fia nigdy nie widziała piękniejszego, bardziej romantycznego wnętrza.

- Dlaczego? - powtórzył, stając naprzeciwko niej i ujmując w dłonie jej twarz. Po-czuła, że palce drżą mu lekko. - Dlatego, że tutaj wszystko się zaczęło. I pomyślałem so-bie, że to jest jedyne miejsce, gdzie zechcesz mnie wysłuchać, i jeżeli będę miał szczę-ście, zdecydujesz się mi uwierzyć. Zmusiłem cię do małżeństwa - mówił dalej cicho, żar-liwie. - Przyparłem cię do muru, zaszantażowałem. Wiedziałem, że zgodzisz się na ślub ze mną ze względu na Lucasa. Wiedziałem, że dla niego będziesz gotowa na każde po-święcenie. A kiedy wszystko poszło już zgodnie z planem, zrozumiałem, że twoja wy-muszona zgoda mi nie wystarczy. I przeraziłem się, bo przecież nie miałem prawa ocze-kiwać od ciebie niczego więcej. A jednak... chcę czegoś więcej. Kocham cię, Fia. Ko-cham cię. Dziś wiem, że już tamtej nocy trzy lata temu cię kochałem. Szukałem cię. Twój smutek poruszył mnie do głębi. I wiem też, że nawet jeśli wtedy nie poczęłoby się nasze dziecko, to i tak zrozumiałbym w końcu, że właśnie z tobą chcę spędzić resztę mojego życia. Nie miałem pojęcia, jak ci wyznać miłość. Po wszystkim, co wydarzyło się między nami, mogłaś roześmiać mi się w twarz. Dlatego kazałem wyremontować tę szopę, zamienić ją na plażowy domek ze wszystkimi wygodami. Liczyłem, że gdy ci go pokażę, zrozumiesz, jak bardzo drogie jest mi to miejsce. Tak bardzo chciałbym, żeby-śmy tutaj zaczęli wszystko od początku...

Nie pozwoliła mu mówić dłużej. Wspięła się na palce i dotknęła ustami jego warg. Poczul, że jej usta się śmieją. Pomyślał przelotnie, że widocznie zasłużył na jej śmiech, a potem przestał myśleć.

Było tak, jak trzy lata temu - ich palce, drżąc z niecierpliwości, zmagaly się z za-pięciami ubrań, ponaglone przez coraz szybsze, coraz bardziej gorączkowe oddechy. Ona była zręczniejsza, zdążyła pozbawić go marynarki, krawata i koszuli, podczas gdy on wciąż walczył z haftkami z boku jej sukni. Otoczyła ramionami jego kark, jęcząc z nie-

cierpliwości, wbiła zęby w jego dolną wargę, przesunęła usta niżej, pieszcząc, smakując jego skórę. Powiodła koniuszkiem języka wzdłuż twardego zarysu jego szczęki, wbiła paznokcie w prężne mięśnie jego barków. Ale w tym momencie on przejął prowadzenie. Gdy tylko ustąpiła ostatnia haftka, zsunął suknię z jej ramion. Lekki materiał spłynął w dół jej ciała, rozlał się srebrzystą kałużą u stóp. Cienka haleczka, którą Fia miała pod spodem, nie została potraktowana z równą atencją. Santo rozerwał ją zdecydowanym gestem, obnażając smukłe ciało żony, złociste w blasku świateł.

I padł przed nią na kolana.

Odrzuciła głowę w tył i krzyknęła, kiedy zdjął jej majtki i dotknął ustami czułego miejsca. Zanurzyła palce w jego włosach i pociągnęła go na łóżko. Poczowała ciężar jego ciała na sobie, objęły ją mocne, męskie ramiona.

Na tę chwilę czekała trzy lata. Nie chciała czekać ani chwili dłużej. Objęła jego biodra nogami, mocno, nagle. Nie potrzebował dalszej zachęty. Wdarł się w nią, wniknął głęboko, wypełniając jej ciało pulsującą rozkoszą, a duszę - bezbrzeżnym zachwytem. Ten mężczyzna był osią jej świata. Wiedziała z instynktowną pewnością, że był jej przeznaczony. I świadomie, dobrowolnie brała go za męża.

- Kocham cię - wyszeptała, kiedy płomień rozkoszy stopił ich w jedno.

Potem leżeli, wyczerpani i nasyчени, w czułym miłosnym uścisku. Fia płakała. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna. Santo łagodnie gładził ją po włosach, pozwalając płynąć jej łzom. Milczeli; rozmowa mogła poczekać. Wiedzieli, że zanim nastanie świt, zdążą sobie opowiedzieć wszystko. O tym, jak zakochali się w sobie przed laty, jeszcze w dzieciństwie. O tym, jak wymykali się na plażę w nadziei, że zobaczą się choćby z daleka. I o tym, że okazali się ludźmi małej wiary, którzy zwątpili, że ich uczucie może okazać się silniejsze od waśni dzielącej dwa rody.

Kiedy zza morza wynurzyło się słońce, nie spali jeszcze; cieszyli się sobą nawzajem i swoją miłością. Choć dopiero zaczynali odkrywać jej potęgę, rozumieli już, że stanie się ona treścią ich życia aż po ostatni dzień.

